

## **GALERIA 9 ZMYŚŁÓW**



**Fotograficzne okruchy  
- promocja albumu**

**10 lat powiatu**

**Różne uroki Afryki  
w jednej wyprawie cz. I**

**Misjonarz wśród potomków Inków**

**Kobieta przypadkowym ściegiem  
- rozmowa z Anną Wroną**

**Stworzony do rozrywki  
- rozmowa z Grzegorzem Kupcem**

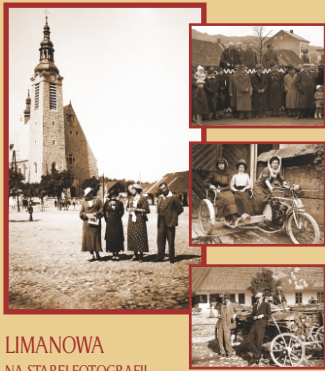
**Wspomnienie  
o Andrzeju Gibasie**

**Jak Orzeł z Turulem**

**Motoryzacja w Limanowej  
na starych fotografiach cz. III**

**Co zostało z tamtych lat**

# OKRUCHY PAMIĘCI



LIMANOWA  
NA STAREJ FOTOGRAFII

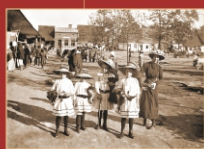
OKRUCHY PAMIĘCI LIMANOWA NA STAREJ FOTOGRAFII



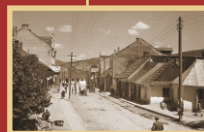
ISBN 978-83-932764-8-2  
www.miasto.limanowa.pl



W KRAJOBRAZIE



RYNEK Miejsce szczególne



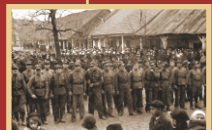
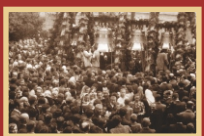
ULICZKI I ZAUŁKI



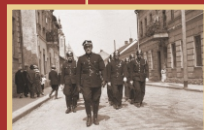
PORTRETY LUDZI I CZASU



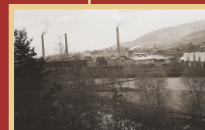
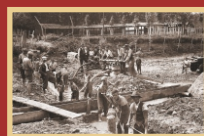
Żywa wiara



Patriotyzm i polityka



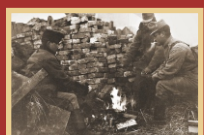
W służbie publicznej



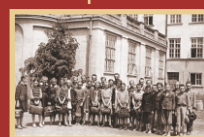
Ku nowym czasom



Oblicza tragedii



Nie samym chlebem...



Ku wiedzy



W wolnym czasie



# To już finał

Stanisław Ociepka

Zespół przygotowujący album „Okruchy pamięci - Limanowa na starej fotografii” zakończył prace. Po prawie roku intensywnego tworzenia, końcowy efekt jest imponujący.

Na 320 stronach albumu ułożono tematycznie w dwunastu rozdziałach 648 fotografii, które zostały wybrane spośród czterech tysięcy zgromadzonych. Rozdziały zostały poprzedzone wstępem. Jego treść wprowadza w nastrój minionego czasu, pozwala zajrzeć w przeszłość, przypomnieć dawne widoki i portrety naszych przodków. Czytamy w nim: „Oglądanie fotografii tego albumu to za mało. Trzeba je dokładnie odczytać w każdym szczególe, starając się dojrzeć

więcej niż jest w stanie powiedzieć lakoniczny z konieczności opis. Trzeba odszukać miejsca bliskie nam a jakże dalekie. Trzeba spróbować wejść w tę zapisaną światłem minioną już przestrzeń, przy pomocy wyobraźni, pobyć przez chwilę w świetle naszych przodków”.

Zamieszczono również słowo burmistrza Limanowej, który rekomenduje album (wydawcą jest Urząd Miasta Limanowa), mówiąc: „To dzięki temu w dawnictwu miniony obraz miasta i jego mieszkańców, który został utrwalony na prezentowanych w tym albumie fotografiach, będzie mógł być przekazany przysłzłemu pokoleniom”.

Z dziennikarskiego obowiązku informujemy również Czytelników. „Echa Limanowskiego”, że kolejne rozdziały tej publikacji to: „W krajobrazie” - 40 fotografii; „Rynek miejsce szczególne” - 69; „Uliczki i zaułki” - 59; „Portrety ludzi i czasu” - 112; „Żywa wiara” - 61; „Patriotyzm i polityka” - 47; „W służbie publicznej” - 47; „Ku nowym czasom” - 50; „Oblicza tragedii” - 42; „Nie samym chlebem...” - 29; „Ku wiedzy” - 28; „W wolnym czasie” - 45 oraz we wstępie i zakończeniu 29 fotografii.

Całość utrzymana jest w różnych odcieniach sepii.

Warto więc dokonać zakupu albumu, który stanowi fotograficzną kronikę naszego miasta.



## Zaproszenie

*„Nie powinno się wierzyć zdjęciom - sugerują, że czas pozbawia ludzi siebie samych, że nie nasze życie na małe kawałki i maceruje tym samym nasze dusze. Że w ten sposób tracimy siebie część po części. A przecież - dojście do końca jest zebraniem wszystkiego w garść, ujęciem w jedną małą kolekcję chwil życia. Nie żadną stratą, a wręcz przeciwnie - odnalezieniem tego co wydawało się pogubione”.*

/Olga Tokarczuk/

## Serdecznie zapraszamy na

### PROMOCJĘ ALBUMU

#### „OKRUCHY PAMIĘCI – Limanowa na starej fotografii”,

która odbędzie się w dniu 8 lutego 2009 r. (niedziela) o godz. 17<sup>00</sup>  
w sali widowiskowej Limanowskiego Domu Kultury.

**Stanisław Ociepka**  
Koordynator Prac Zespołu Redakcyjnego

**Marek Czczótko**  
Burmistrz Miasta Limanowa

#### W PROGRAMIE:

Widowisko promujące album - „Odnaleziono to – co wydawało się pogubione...”

Podziękowania i wręczenie odznaczeń miejskich

Recital Jagi Wrońskiej

**W czasie promocji będzie można dokonać zakupu albumu - cena 60 zł.**

**Na drugiej stronie: Okładka oraz tytułowe strony dwunastu rozdziałów albumu „Okruchy pamięci - Limanowa na starej fotografii”**



Drewniane domy budowane na zręb z pobielonymi ścianami i niskimi dachami, pierwotnie kryte gontem - to ulica Krakowska na początku XX wieku.



Stutysięczna rzesza wiernych w czasie uroczystości koronacyjnych - 11 września 1966 rok.

*„Pamięć potrzebuje do dobrego funkcjonowania ciągłego treningu: jeśli nie wywołuje się wspomnień, nie przywołuje się ich wciąż na nowo w przyjacielskich pogawędkach, odchodzą.”*

**Jolanta Bugajska**

**Milan Kundera**

# Fotograficzne okruchy

**Leżą. Czekają. Ktoś może spojrzeć. Ktoś dotknie. Ktoś wesznie. Może czyjaś łza osłodzi zapomnienie. Pożółkłe, wyblakłe, połamane. Fotografie sprzed lat.**

## Narodzone

Spały w pudełkach. Pozawijane w bibułę. Dawno nie przeglądane. Aż któregoś dnia dostojna starsza pani przypomniała sobie o zbiorach mamy. Zajrzała na strych. Zdmuchnęła kurz. Wyciągnęła pudełka i oddała je do przejrzenia miłemu, cichemu młodzieńcowi i jego ojcu. Niech zobaczą, skoro ich to interesuje. Ich ręce z czułością zaczęły wydobywać skarby. Po kolei, sztuka za sztuką. Z namaszczeniem, zapalem, zachwytem. I rodziły się na nowo. Witane z entuzjazmem.

Kilkaset negatywów na szkle wykonanych na początku XX wieku przez Klementynę Zubrzycką, wśród nich nigdy nie publikowane zdjęcia przedstawiające budowę limanowskiego kościoła, zostało powierzonych przez Krystynę Bączkowską – Cynke Stanisławowi Ociepce i jego synowi Dariuszowi.

## Odnowione

Inne – spleśniałe, podgnite, leżały porzucone w piwnicach, w zakamarkach strychów, na dnie szuflad. Ktoś sobie przypomniał, że są, że babcia zostawiła, mama przechowywała, dziadek ukrył...

Dzięki temu na nowo ujrzano świat kilkaset zdjęć z lat 30. XX wieku wykonanych m.in. przez Franciszka Fijała i Leona Szewczyka.

Wszystkie przyjęte z radością, podane czulej obróbce technicznej.



Stanisław Ociepka ze wstępną wersją albumu.

Fot. J. Bugajska



Widok od strony ołtarza koronacyjnego w kierunku „Siwego Brzegu”.



Scena przy wiejskiej studni. Początek XX wieku.

### **Dariusz Ociepka, nauczyciel informatyki, z zamiłowania fotograf:**

- Aby odzyskać negatywy zrobiliśmy studio, podświetlaliśmy szkła i robiliśmy im zdjęcia aparatem cyfrowym. Z kolei wszystkie stare fotografie zostały zeskanowane w odpowiednio dużej rozdzielczości. Następnie konieczne było dokonanie retuszu – trzeba było wypełnić komputerowo każdy ubytek, zlikwidować zadrapania, rysy. Obróbka jednej fotografii wymagała przeciętnie półtorej godziny.

### **Znalezione**

W ten sposób odzyskanych zostało ponad 4 tys. zdjęć, z których 648 znajduje się w przygotowanym albumie „Okruchy pamięci - Limanowa na starej fotografii”.

**Stanisław Ociepka, inicjator wydania publikacji:** - Jest grupa ludzi, związanych z prasą lokalną „Echem limanowskim” i „Almanachem Ziemi Limanowskiej”. Tu należy szukać źródeł. Robiąc pisma lokalne, sięga się do korzeni, szuka się archiwalnych dokumentów, jakimi są fotografie. Przez kilkanaście lat zgromadzono spory ich zbiór. W którymś momencie wpadłem na pomysł, by w jakiś sposób te bogate zasoby pokazać. Oczywiście sam nie byłbym w stanie tego zrobić. W tworzenie publikacji bez reszty zaangażowała się naczelnik Wydziału Promocji Jolanta Szyler. Rada Miasta doceniła inicjatywę

i stworzyła warunki do jej realizacji. Pomogła mi grupa prawdziwych pasjonatów. Utworzyliśmy zespół, w skład którego weszli: Jolanta Szyler, Jerzy Bogacz, Stefan Bugajski, Zbigniew Dutka, Dariusz Ociepka i Zbigniew Sułkowski. Przeglądaliśmy podobne, powstałe w dużych ośrodkach publikacje. Uznaliśmy, że nasze miasteczko ma również bogatą historię, którą warto przywołać.

### **Wydobyte**

Najpierw było prywatne gromadzenie starych fotografii. Później inicjatywa wydania ich w wersji książkowej. Zespół po raz pierwszy spotkał się w lutym 2008 r. Wszyscy podzielili się swoimi zbiorami i podjęli decyzję – ruszają, aby dotrzeć do kolejnych zdjęć. I wtedy się zaczęło...

**Stanisław Ociepka:** - Sprzyjało nam szczęście. Wcześniej przez lata stare fotografie zbierał Jan Wielek, dyrektor Muzeum Regionalnego Ziemi Limanowskiej. Początkowo byliśmy przekonani, że wystarczy nam zdjęć z archiwów naszej prasy lokalnej i ze zbiorów Jana Wielka. Życie napisało inny, piękny scenariusz. Kiedy zaczęliśmy, nie przypuszczaliśmy, że dotrzemy do ponad 100 zbiorów prywatnych i to nie tylko w Limanowej, ale też w Krakowie, Warszawie, Bielsku, Wrocławiu. W tej chwili w albumie znajdzie się tylko mała część fotografii z tych początkowych zbiorów.



Przed wejściem głównym Szkoły nr 1 w Limanowej. Stoją od prawej: rząd pierwszy - ? Banach, Lilianna Kasprzyk, Aniela Treła; rząd drugi - Teresa Miłuka, Maria Piekarcz. 1939 rok.

### **Zgromadzone**

Ruszyli do starszych mieszkańców Limanowej, zwykle ponad osiemdziesięcioletnich. Delikatnie, spokojnie rozmawiali, przekonywali. Bo wiele osób było sceptycznych. Oddawać w cudze ręce rodzinne pamiątki. Po co to? Na co? Jedno spotkanie, drugie, dziesiąte. Aż wreszcie przekonali właścicieli. Ktoś przypomniał sobie, u kogo mogą być przechowywane negatywy znanego kiedyś, limanowskiego fotografa. Ktoś zszedł do piwnicy i wyciągnął karton z rodzinnymi pamiątkami. ▶



W ważnych dla miasta pracach publicznych uczestniczyli wszyscy jego mieszkańcy. Na zdjęciu grupa limanowskich Żydów przy wykopach.



Uboga wiejska chałupa kryta strzechą pod Sarczynem.

► **Stanisław Ociepka:** - *Trzeba było rozmawiać z wielką wrażliwością. Okazało się jednak, że było warto. Los nam sprzyjał. Znaleźliśmy fotografie, o których istnieniu nikt nie wiedział. Prawdopodobnie takich materiałów jest więcej. W listopadzie zorganizowaliśmy wystawę poświęconą 90. rocznicy odzyskania niepodległości, na której pokazaliśmy część zbiorów. Po tej wystawie wiele osób przekonało się do publikacji. Prywatne archiwa zostały otwarte.*

## Przypomniane

Na wernisaż przyjechał pewien limanowianin z urodzenia, dziś 87-letni mieszkaniec Krakowa. Ze wzruszeniem oglądał wystawę, co jakiś czas komentując: - *Tu jest mój ojciec, a tu jestem ja...*

Wrócił do domu i przeglądał stare albumy. Przysłał między innymi zdjęcia przedstawiające zbombardowaną stację kolejową oraz obóz jeniecki w Sowlinach.

Jerzy Bogacz we wstępie do albumu: „Najserdeczniejsze podziękowania należą się tym, którzy wierni rodzinnej tradycji, na przekór dziejowym zawieruchom i zapomnieniu, przechowywali w starych szufladach, pudłach i kasetkach bezcenne okruchy pamięci. Zachowały się na nich obrazy życia i dokonań naszych przodków. Rejestrowano je niegdyś na szklanych płytach, potem długo na celuloidowych błonach. Teraz zostały przeniesione na elektroniczne nośniki

i wydane drukiem. W dziedzinie technologii zmieniło się wiele – w istocie rzeczy nic. Rangę wciąż nadaje fotografii czas w niej uwięziony.”

## Podpisane

Przychodzimy, odchodzimy... Zostają fotografie. Na nich twarze, miejsca, zdarzenia. Jakaś podniesiona do góry dłoń, zalotny gest, nieśmiały spójrzanie, radosny dziecięcy uśmiech. Przeszłość zatrzymana w kadrze. Minęło niespełna sto lat - tylko tyle. Twarze, które teraz nic nie mówią. Nazwiska, które niewiele już znaczą.

Milan Kundera w „Niewiedzy”: „Pamięć potrzebuje do dobrego funkcjonowania ciągłego treningu: jeśli nie wywołuje się wspomnień, nie przywołuje się ich wciąż na nowo w przyjacielskich pogawędkach, odchodzą.”

Najwięcej trudności zespół redakcyjny miał z podpisaniem fotografii. Kto to jest? Jakie to miejsce? Ponad stuletnie zdjęcia. Ich bohaterów już nie ma... Niewiele jest tych, którzy pamiętają. Potomkowie rozpoznają tylko najbliższych. O innych słyszeli jedynie z opowiadań. Mozolne docieranie do tego, co pozornie nie tak odległe w czasie.



W Miejskiej Galerii Sztuki prezentowane były fotografie zgromadzone do albumu. Wystawa zorganizowana była w 90. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. Stoją od lewej: Józef Szymon Wroński, Halina Matras, Stanisław Ociepka, Jolanta Szyler.



Niemiecki patrol na limanowskim rynku.

## Wydane

Wydawcą albumu jest Urząd Miasta w Limanowej. Publikacja jest już w druku. Jej promocję planuje się na 8 lutego.

Stanisław Ociepka, emerytowany nauczyciel, wieloletni wicedyrektor ZSS nr 3 w Limanowej, nauczyciel fizyki, przyznaje: - *Nie przywiązywałem takiej wagi do regionalizmu. Dziś widzę, że jest to bardzo istotny element naszej tożsamości. Okazuje się, że pomimo codziennego zabiegania ludzie przystają, by zapytać o historię przodków i miasta. To pocieszające.*

## Żywe

Narodziły się na nowo. Obudziły innych. Ożywiły wspomnienia. Przywołały ludzi, których już nie ma. Zachęciły do odkrywania przeszłości.

Olga Tokarczuk w „Ostatnich historiach”: „Nie powinno się wierzyć zdjęciom – sugerują, że czas pozbawia ludzi siebie samych, że tnie nasze życie na małe kawałki i maceruje tym samym nasze dusze. Że w ten sposób tracimy siebie część po części. A przecież – dojście do końca jest zebraniem wszystkiego w garść, ujęciem w jedną małą kolekcję chwil życia. Nie żadną stratą, a wręcz przeciwnie – odnalezieniem tego, co wydawało się pogubione.”



Obóz jeniecki zorganizowany przez okupanta przy rafinerii nafty w Sowlinach.



Grupa turystów w czasie wędrowki narciarskiej w okolicach Limanowej. Lata trzydzieste XX wieku.

**Retusz fotografii do albumu wykonał:  
Dariusz Ociepka**



## Dziewiąte już noworoczne spotkanie na Miejskiej Górze

Tradycyjne już zimowe spotkanie przy Krzyżu III Tysiąclecia po raz dziewiąty nastąpiło 28 grudnia 2008 roku. Tym razem zima dopisała, a grzbiet Miejskiej Góry prócz śniegu pokryła fantastyczna dekoracja szreni. Prócz tego cienka warstwa chmur tuż nad szczytem sprzyjała powstawaniu zjawiska „słonecznego halo” - świetlisto-tęczowego kręgu wokół słońca, czasem nawet z dwoma lub trzema tzw. słońcami pozornymi na obwodzie. Zjawisko bywało tak wyraźne, że wielu udało się utrwalić je na fotografii. Bo też tym razem wyjątkowo wielu turystów pod Krzyż przybyło - ok. 150 osób.

Jak co roku każdy otrzymywał gorącą strawę i napitek przygotowane przez GOPR-owców; wykonanych w liczbie stu plaketek pamiątkowych oczywiście nie dla wszystkich starczyło. Za to nikomu nie brakło wzajemnego człowieczego ciepła właściwego i dla szczególnego miejsca, i czasu. Pięknie o tym (piękną polszczyzną!) powiedział do zebranych z galerii widokowej Krzyża przybyły i w tym roku Ojciec Dominik Orczykowski - 81 lat! Ad multos annos, Carissime Pater! Porywany w różne strony kraju jako kapelan lotnictwa sportowego zawsze się stara, by rodzinną Męcinę i przy okazji Limanową w odpowiednim czasie odwiedzić.

Z innych przybyłych gości wymienię popularnego aktora - Zbigniewa Buczkowskiego oraz kilkunastoosobową grupę naszych przyjaciół - turystów z Dolnego Kubina, przybyłych wraz z Prezesem Klubu Słowackich Turystów „Orava”, Józefem Bruszakiem.

Należy przypomnieć, że od początku każdorazowe powitanie Nowego Roku na Miejskiej Górze - godne i sympatyczne, bo bez zbędnego wrzasku i fajerwerku - organizują i sponsorują firma „LIMATUR” Andrzeja Piławskiego oraz limanowska Sekcja Operacyjna Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

**Zbigniew Sułkowski**



Fot. Kuba Toporkiewicz



# Tischner; życie w opowieściach

Dzięki staraniom pani Ewy Ciny oraz uprzejmości pani dyrektor Stanisławy Obrzut, 13 grudnia 2008 roku w Limanowskim Domu Kultury miała miejsce prapremiera filmu „Tischner; życie w opowieściach” z udziałem twórców Arturem „Baron” Więckiem oraz Witoldem Beresiem. Nie przypadkowy był termin (13 grudnia) prapremiery, jak i miejsce (Limanowa). Wszak główny bohater filmu, ksiądz Józef Tischner, to piewca Ślebody (wolności) kapelan „Solidarności”. Współtwórca filmu, Artur „Baron” Więcek, z pochodzenia jest limanowianinem. Film to biografia złożona z fragmentów wspomnień, opowieści ludzi, którzy stanęli na ścieżce życia ks. Józefa Tischnera, kolegów, koleżanek z ławy szkolnej, sąsiadów, przyjaciół, rodziny. Ludzi prostych, profesorów, świeckich, kapłanów, polityków. Autorom filmu, moim zdaniem, udało się pokazać nie tylko kapłana, filozofa, ale przede wszystkim człowieka. Po ludzku słabego, kiedy już śmiertelnie chory szeptem mówi (w nawiązaniu do wcześniejszej rozmowy o cierpieniu) do Jarosława Gowina „Nie uszlachetnia”. Jednocześnie pełnego głębokiej wiary i nadziei na spotkanie Stwórcy. Jak twierdził w rozmowie z o. Leonem Knabitem „A bo ja mam swój intymny dowód na istnienie Pana Boga”... i ... „marna by była wiara, kiedy by się zachwiała pod wpływem wiedzy”. Na początku swojej drogi kapłańskiej tak pisał w swoim pamiętniku: „Tyś jest wielki, ale ja jestem sługą Twoim, kamieniem rzuconym na szaniec. (...) wierzę w Ewangelię, w Pismo Święte i Boga, ale nade wszystko wierzę w miłość!”

Po projekcji filmu widzowie mieli możliwość w bezpośredniej rozmowie z autorami podzielić się swoimi refleksjami na temat filmu, kupić książkę pod tym samym tytułem. Książka ta, to... „coś na kształt przewodnika po Tischnerze, z „w miarę pełnym kalendarium jego życia i twórczości”. To zbiór „ważnych wypowiedzi związanych z życiem i myślą autora „Historii filozofii po góralsku”, które nie zostały ujęte w filmie.

Zachęcam Państwa i do oglądnięcia filmu i przeczytania książki.

**Alicja Kulma**



W Limanowskim Domu Kultury miała miejsce prapremiera filmu „Tischner; życie w opowieściach” z udziałem twórców: Arturem „Baronem” Więckiem (z prawej) oraz Witoldem Beresiem.

## Podziękowanie!

Za pośrednictwem „ECHA LIMANOWSKIEGO” chcieliśmy w imieniu syna oraz własnym podziękować wszystkim tym, którzy swoją pomocą i hojnością wsparli rehabilitację naszego dziecka, przekazując w 2008 roku 1% podatku.

Wszystkim ludziom dobrej woli dziękujemy z całego serca.

**Krystyna i Wiesław Wójtowicz**



# Dziesięciolecie powiatu - powrót do tradycji

## Historia

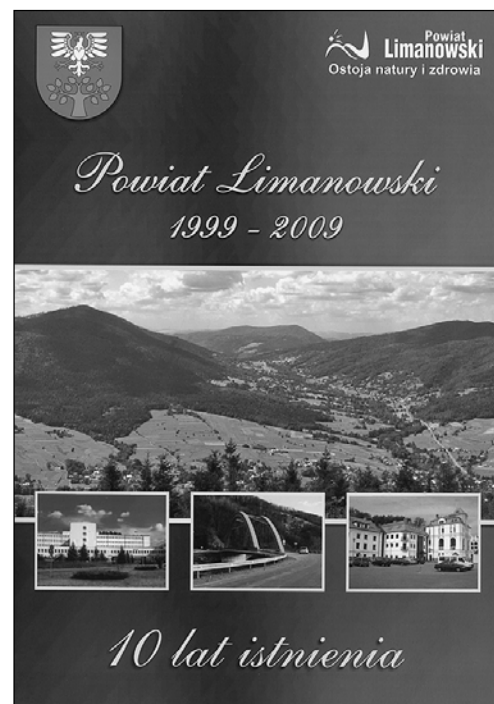
Limanowa od samego początku pełniła funkcje lokalnego ośrodka administracyjnego. W okresie staropolskim ograniczało się to do parafii i majątku kolejnych właścicieli. Władzę królewską w naszym regionie reprezentował przede wszystkim starosta sądecki. Decentralistyczny charakter państwa i przywileje szlacheckie znacznie ograniczały jego uprawnienia, pozostawiając większość decyzji administracyjnych w rękach prywatnych.

Sytuacja uległa zmianie po roku 1773, kiedy ziemie te w wyniku I rozbioru znalazły się w granicach Cesarstwa Austriackiego. Nowe władze, chcąc usprawnić zarządzanie, podzieliły zagarniętą dzielnicę na cyrkule i dystrykty. W roku 1782 podział uproszczono, tworząc 18 urzędów cyrkularnych podporządkowanych gubernium lwowskiemu. Na czele cyrkulów postawiono urzędników zwanych po dawnemu starostami, ale ze znacznie szerszym zakresem władzy. Taki stan utrzymał się z niewielkimi zmianami do połowy XIX wieku. Limanowa znalazła się w cyrkule sądeckim i podobnie jak inne miejscowości była przede wszystkim źródłem rekruta i podatków dla wiedeńskiego dworu. Centralistyczne państwo i urzędy, mimo że zdominowane przez język niemiecki, wprowadziło pewien porządek w administracji lokalnej.

W roku 1854 powrócono do systemu administracji dwustopniowej, przekształcając cyrkule w urzędy obwodowe i dzieląc je na powiaty. Była to odpowiedź na rosnący kryzys monarchii austriackiej. Rozporządzeniem z 24 kwietnia 1855 roku obwód sądecki podzielono na 10 powiatów sądowych. Siedzibami nowych urzędów została między innymi Limanowa i Tymbark. To ostatnie miasteczko, zniszczone pożarem, tylko formalnie. Faktycznie urząd mieścił się w Skrzydłnej. W skład powiatu limanowskiego weszło wówczas 46 gmin, znacznie niekiedy od siebie oddalonych. Wprowadzony podział często nie uwzględniał tradycyjnych związków między miejscowościami i jak się okazało miał charakter przejściowy. Kompromitujące klęski

militarne i dyplomatyczne oraz coraz silniejsze tendencje separatystyczne wymusiły kolejne reformy wielonarodowej monarchii. Akty prawne wydane na podstawie tzw. patentu lutowego z 1861 roku dały początek autonomii galicyjskiej, na której skorzystała Limanowa. W latach 1866-1867 stopniowo wprowadzono nowy podział administracyjny dający lokalnym społecznościom znaczne uprawnienia i uwzględniający wcześniejsze doświadczenia. Utworzono wówczas 74 starostwa, z których cztery grybowskie, nowosądeckie, nowotarskie i limanowskie powstały na obszarze dawnego obwodu sądeckiego. Starosta przejmował część kompetencji zlikwidowanej jednostki. Rosły jego wpływy polityczne jako organu nadzorującego i odpowiedzialnego za wybory do przedstawicielstw krajowych i lokalnych. Ordynacja wyborcza opierająca się na podziale na tzw. kurie, mimo że złożona pozwalała włączyć się w życie publiczne szerokim grupom społecznym. Rada Powiatowa jako organ samorządowy mogła podejmować samodzielne decyzje zgodnie z zasadami demokracji. Jej sprawność zależała nie tylko od przewodniczącego, ale w dużej mierze od etatowego sekretarza. Funkcję tę pełnił w Limanowej między innymi zasłużony dla powiatu Józef Beck.

Starostwo limanowskie w chwili utworzenia obejmowało 947,797 km<sup>2</sup> podzielonych na 92 gminy w tym 2 miasta i 68 obszarów dworskich. Nowy powiat powstał z połączenia dwóch wcześniejszych powiatów sądowych poszerzonych o pięć gmin powiatu krościeńskiego: Kamienicę, Szczawę, Zalesie, Zasadne i Zbludzę; wieś Stare Rybie z powiatu dobczyckiego oraz Laskową i Makowicę z powiatu wiśnickiego. Nowe granice musiały być dobrze wyznaczone i spełniały lokalne oczekiwania, ponieważ przez kolejne lata nie uległy zasadniczym zmianom. Od drugiej połowy XIX wieku rosło natomiast znaczenie szybko rozwijającej się Mszany Dolnej. Dostrzegając pozycję, jaką uzyskała, przekazano jej część powiatowych uprawnień administracyjnych.



Tytułowa strona folderu wydanego przez Starostwo Powiatowe w Limanowej z okazji 10 lat istnienia powiatu.

Po I wojnie światowej w imieniu odradzającego się państwa polskiego administrację powiatową przejął Polski Komitet Likwidacyjny w Krakowie. W marcu 1919 roku powołano oficjalnie Starostwo Powiatowe w Limanowej. W grudniu 1920 roku został on zatwierdzony w strukturze administracyjnej województwa krakowskiego w granicach sprzed 1918 roku. Organizacja władz administracji ogólnej została ujednoczona 19 stycznia 1928 roku. Na czele powiatu stanął starosta powiatowy, mianowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Pod względem służbowym podlegał bezpośrednio wojewodzie. Był przedstawicielem rządu oraz szefem administracji ogólnej odpowiedzialnym za koordynację działań z administracją specjalną. Załatwiał sprawy należące do jego kompetencji przy pomocy starostwa oraz innych organów mu podlegających. Wobec problemów finansowych i napięć społecznych zarządzanie powiatem limanowskim nie należało do łatwych. W publikacji Walentego Gawrona „Wspomnienia z Limanowszczyzny” odnajdujemy starostów i ocenę ich działań. Wśród wymienianych są: ? Sielecki (do 1903 roku), ? Niewiadomski (za jego czasów starano się o

przyłączenie Sowlin do Limanowej), ? Rubenbauer (od 1914 roku), dr ? Trzeciak, ? Sobolewski, ? Wołoszański, dr. ? Gross, Franciszek Piątkowski, Władysław Olszewski (od 1922 roku), Juliusz Marossanyj (od 1926 roku), ? Müller (od 1929 roku), ? Buliński (od 1932 roku), Ludwik Malkowski (od 1933 roku), Stanisław Nowak (od 1938 roku – ostatni starosta przed II wojną światową).

Do współdziałania ze starostą był powołany czynnik obywatelski, reprezentowany przez Radę Powiatową. Przewodniczącym Rady był starosta, który przewodniczył także obradom Wydziału Powiatowego. Powoływano także organy pomocnicze i doradcze, takie jak Komisja Zdrowia, Komisja Rolna czy Powiatową Komisję Letniskową. Coraz wyraźniej dostrzegano potrzebę wspólnych działań zmierzających do rozwoju rolniczego powiatu. Rozbudowa połączeń drogowych, promocja i wykorzystanie walorów turystycznych to tylko niektóre pomysły mające zapewnić sukces powiatowi.

Po II wojnie światowej utrwalony już we wcześniejszym okresie podział administracyjny został zachowany. Władze powiatu limanowskiego zdominowane w pierwszym okresie przez dawnych działaczy ludowych były stopniowo zastępowane przez nową siłę polityczną. Powstające instytucje powiatowe stawały się często narzę-

dziem walki z opozycją i utrwalania władzy. Nowy ustrój mimo deklaracji daleki był od zasad demokracji i samorządności. W centralnie zarządzanym państwie rola Powiatowej Rady Narodowej została ograniczona, a ważniejsze decyzje podejmowano na wyższych szczeblach rządowych. Mimo to powiat limanowski przeżywał w tym okresie szybki rozwój i nadrabiał zapóźnienia cywilizacyjne. Skuteczność lokalnych działaczy zależała przede wszystkim od umiejętności poruszania się i znajomości różnego rodzaju układów rządowo-partyjnych. Powiat limanowski funkcjonował do czerwca 1975 roku, kiedy to w wyniku reformy ten szczebel administracji został zlikwidowany. Mimo że dla miasta oznaczało to degradację, władze lokalne nie protestowały. Inna kwestia, czy w tej sprawie miałoby to jakiegokolwiek znaczenie.

## Nowy początek

W 1999 roku po dwudziestu czterech latach przywrócono powiaty do życia. Reaktywowany powiat limanowski objął swoim zasięgiem 10 samorządów gminnych: Dobrą, Jodłownik, Kamienicę, Laskową, Limanową, Łukowicę, Mszanę Dolną, Niedźwiedz, Słopnice, Tymbark oraz dwa samorzady miejskie: miasto Limanowa, miasto Mszana Dolna. W tym okresie kolejne

Rady Powiatowe wybrane w demokratycznych wyborach na stanowiska starostów i wicestarostów wybierały: starostę *Władysława Biedę*, wicestarostę *Romana Duchnika* (1999-2002); starostę *Romana Duchnika*, wicestarostę *Zbigniewa Dutkę* (2002-2006), starostę *Jana Puchalę*, wicestarostę *Franciszka Dziedzinę* (2006 - nadal).

Istotą powrotu do tradycji powiatu stały się insygnia, które 31 lipca 2002 roku Rada Powiatu Limanowskiego zatwierdziła. Są to herb, flaga i pieczęć powiatu. Herb powiatu przedstawia w polu czerwonym złote drzewo, ponad którym widnieje srebrny ukoronowany Orzeł o dziobie i szponach złotych, z takąż przepaską przez skrzydła. Położenie wymienionych elementów wyraża przy pomocy języka heraldyki ścisły związek zarówno z topografią regionu, z miastem Limanowa, jak i z województwem małopolskim, którego część powiat stanowi.

Z okazji jubileuszu 10-lecia odrodzenia powiatów w Polsce, Rada Powiatu Limanowskiego postanowiła ustanowić sztandar upamiętniający to wydarzenie.

Na prawym, srebrnym płacie sztandaru stanowiącym jego awers widnieje herb powiatu limanowskiego wraz z dwoma datami. Pierwsza oznacza rok powstania powiatu, druga dziesiątą rocznicę tego wydarzenia. Płat lewy, czerwony, stanowiący rewers sztandaru zawiera białego orla



Starosta Jan Puchala z Radą Powiatu w czasie obchodów jubileuszowych.



## 10 LAT POWIATU 1999-2009



Fotografie Jakub Toporkiewicz

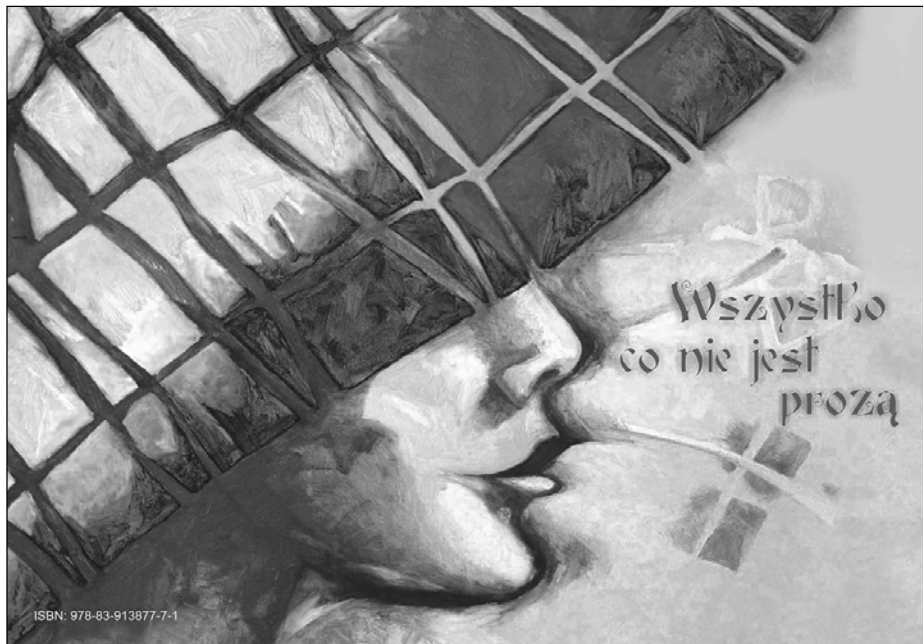
(ciąg dalszy na stronie 39)

# Jak w staropolskim „silva rerum”

– nowe wydawnictwo Limanowskiego Klubu Literackiego

Tworzą nieliczną, dwupokoleniową grupę. Różnią ich zainteresowania i wykonywane profesje, predyspozycje do nauk humanistycznych lub ścisłych. Łączą wrażliwość, indywidualny odbiór świata i umiejętność wyrażania tego, co „w duszy gra”. Mowa o literatach, publicystach i poetach tworzących Limanowski Klub Literacki powstały we wrześniu 2007 roku przy Miejskiej Bibliotece.

W lutym br. ukaże się nowa, już druga publikacja „Wszystko, co nie jest prozą”, prezentująca najciekawsze utwory członków klubu. Jej autorzy mają nadzieję, że różnorodność tematyczna i stylistyczna, ukazane rozmaite nastroje i odczucia przemówią do limanowskich czytelników.



## Limanowski Klub Literacki

„Klub istnieje od września 2007 roku – mówi dyrektor Miejskiej Biblioteki w Limanowej Halina Matras. Inspiracją do jego powstania oraz do podjęcia działalności wydawniczej był pomysł Michała Gondy, dyrektora biblioteki w Dolnym Kubinie dotyczący przygotowania wspólnej publikacji utworów twórców słowackich i polskich. Ukazała się pod tytułem „Tam, gdzie śpi olbrzym”, zawierała utwory 12 twórców Limanowszczyzny – wiersze, opowiadania, publicystykę. Następnie limanowscy autorzy gościli członków Klubu Literackiego „Fontana” z Dolnego Kubina. Po tym spotkaniu narodził się pomysł utworzenia Lima-

nowskiego Klubu Literackiego, działającego pod skrzydłami Miejskiej Biblioteki.

Dobrym duchem, łączącym starsze i młodsze pokolenia twórców jest Jerzy Bogacz – literat, autor „Anielskiego czasu” i redaktor „Almanachu Limanowskiego”. Do klubu należą uznani w środowisku autorzy: *Zbigniew Sułkowski* – polonista i publicysta, poeci posiadający w swym dorobku samodzielne tomiki wierszy – *Marek Jerzy Stepien* i *Zbigniew Kazimierz Wrona*, *Jan Uryga* – publicysta katolicki, autor książek o tematyce religijnej, badacz tradycji, *Jan Wielek* – historyk sztuki, dyrektor Muzeum Ziemi Limanowskiej, *Robert Widzisz* – autor opowiadań i fotografik, *Marek Dudek* – fotografik i publicysta, *Teresa Grzegorzek* – pisarka przedsta-

**Ilona Machowicz-Jurowicz**

wiająca obraz wsi. Założyciele klubu zaproponowali uczestnictwo ludziom młodym – licealistom, laureatom organizowanych przez Miejską Bibliotekę Konkursów Poetyckich im. Zosi Smereczyńskiej: *Karolinie Grabiec*, *Marcie Gryś*, *Annie Twaróg* i *Aleksandrze Wielek*.

„Cieszymy się, że wśród młodego pokolenia w dobie Internetu i smsów istnieje grupa osób, które w sposób oryginalny postrzegają świat i posiadają talent literacki” – mówi dyrektor Halina Matras. „Młodzi mają znakomitych mistrzów, od których mogą się uczyć. A jeśli zdarzy się, że uczeń talentem przerośnie mistrza – należy się z tego cieszyć”.

Siedzibą klubu, dzięki życzliwości dyrekcji, stała się Miejska Biblioteka w Limanowej. Działalność twórców wspiera jej pracownik Sławomir Luźny, absolwent dziennikarstwa. Opracował stronę internetową klubu, zamierza w przyszłości zostać moderatorem forum dyskusyjnego w Internecie, poświęconego twórczości członków.

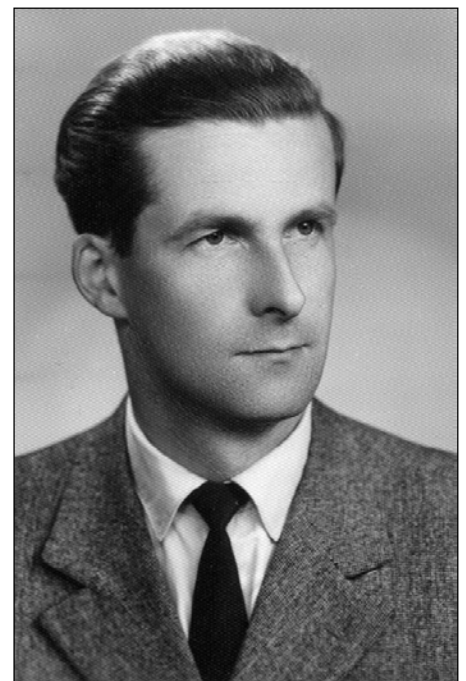
## „Wszystko, co nie jest prozą...”

„Wszystko, co nie jest prozą” to tytuł publikacji, przygotowany przez członków klubu, zawierającej ich najnowsze utwory. „Z doświadczenia wiem, że najlepszą formą promocji twórcy jest publikacja książkowa” – twierdzi Jerzy Bogacz. Dzieła malarskie lub fotograficzne można promować poprzez wystawy – taką działalność prowadzi od lat biblioteka. Próby promowania twórców podejmowaliśmy w „Almanachu”. W kilku numerach pod stałym tytułem *Klub Literacki Miłośników Ziemi Limanowskiej* ukazywały się wiersze oraz miniatury literackie rodzimych autorów. Utwory drukowane w prasie mają charakter ulotny, nie są w stanie się przebić, ich możliwość dotarcia do czytelnika jest ograniczona. Dlatego pojawiła się myśl o wydawnictwie.

(ciąg dalszy na stronie 39)

Postać przedwcześnie zmarłego profesora Andrzeja Gibasa związana jest ściśle z dziejami limanowskiego Liceum Ogólnokształcącego, w którym przepracował 16 lat, tworząc wraz z prof. prof.: Józefem Staniszewskim, Wilhelmem Taborem, Aleksandrem Banasiem, Jadwigą Kowalczyk, Janiną Cyburą, Piotrem Chmielem, ks. Stanisławem Mlyczyńskim, Józefem Zbosiem, Barbarą Salawą i innymi legendę szkoły. Zapisał się w niej nie tylko stażem pracy, ale także niepowtarzalną osobowością i cechami charakteru. Należał do wąskiego grona tych nauczycieli, którzy całe swoje życie zawodowe związali z limanowskim Liceum Ogólnokształcącym. Był życzliwym dla ludzi, uczciwym i porządnym człowiekiem, któremu obce było pojęcie konformizmu.

Patrząc z perspektywy czasu na postać profesora Andrzeja Gibasa, starałem się odtworzyć we wspomnieniach miejsca, sytuacje, rozmowy, pragnąłem je ożywić, pomalować na nowo i ukazać historię życia wartościowego człowieka, wrażliwego na piękno świata, przyrody, ludzką dobroć, umiejącego w każdym znaleźć dobre i szlachetne cechy.



*Andrzej Gibas (1927 - 1977)*

# Wspomnienie o Andrzeju Gibasie

Urodził się 8 kwietnia 1927 roku w Warszawie, jako syn Izydora Gibasa i Władysławy z Sitowskich. Ojciec jego był prawnikiem i pracował w Ministerstwie Robót Publicznych w Warszawie, pozostając na stanowisku naczelnika wydziału prawno-administracyjnego, aż do likwidacji tegoż ministerstwa w 1933 roku. Wówczas to przeniósł się wraz z całą rodziną na stałe do Limanowej. Był właścicielem dworu w Mordarce.

Szkolę podstawową Andrzej Gibas ukończył w Limanowej, a następnie pobierał naukę w zakresie szkoły średniej. W 1945 roku przeniósł się do Krakowa, gdzie zamieszkał wraz z bratem Tadeuszem. Tam w 1946 roku ukończył gimnazjum, zdał maturę, po czym zapisał się na geografię (Wydział Biologii i Nauk o Ziemi) w Uniwersytecie Jagiellońskim. Studiował w latach 1946-1952, specjalizował się w geografii fizycznej, magiste-

rium uzyskał w 1952 roku. Jego studia przypadły na okres stalinizacji życia w Polsce zwanego często przez kolejne ekipy partyjne okresem „błędów i wypażeń”. Okres ten nie sprzyjał ludziom wywodzącym się ze sfer ziemiańskich, których władze partyjne pragnęły eliminować z życia społeczno-politycznego kraju.

Wkrótce po studiach powrócił do Limanowej, lecz nie mógł pracować w wyuczonym zawodzie ze względu na pocho-



Pierwszą pracę Andrzej Gibas (drugi z prawej) podjął na stanowisku skarbnika w Spółdzielni Budowlanej w Limanowej.



W czasie jednej z wielu wycieczek.

dzenie, gdyż był synem „wroga klasowego”, za jakiego uważano jego nieżyjącego ojca. W końcu po dłuższych staraniach podjął pracę w Spółdzielni Budowlanej w Limanowej, jako sekretarz – skarbnik. W oczach ówczesnych władz partyjno-administracyjnych był wszakże nadal synem dziedzica, co wówczas blokowało mu jakikolwiek zawodowy awans.

Był urodzonym pedagogiem, kochającym pracę z młodzieżą i młodzież, posiadającym wiele pasji, które potrafił przekazać uczniom. Pod maską pozornej oschłości krył się życzliwy młodzieży dusza człowiek, wrażliwy, dowcipny i inteligentny. Całe swoje życie związał z nauczaniem młodzieży, która to praca była jego największą życiową pasją i której poświęcił się bez reszty. Pracował w ognisku muzycznym, był nauczycielem i wychowawcą w liceum, posiadał turystyczną pasję.

Pracę z młodzieżą rozpoczął dopiero kilka lat po przemianach październikowych 1956 roku - w 1959 w Społecznym Ognisku Muzycznym mieszczącym się w starym, nieistniejącym już budynku „Sokoła”. Był jednym z pierwszych nauczycieli gry na fortepianie. Zatrudniony został przez samego Mieczysława Mordarskiego. Uczył tam muzyki m.in. z Mieczysławem, Krystyną, Ludwikiem i Władysławem Mordarskimi, Heleną Łazarską, Janiną Kuźniarską, Eugeniuszem Dziubą, Władysławem Sułkowskim, Tadeuszem Wiktorkiem. Na niwie muzycznej osiągał suk-

cesy, wielu jego uczniów dostawało się do szkół muzycznych wyższego stopnia, zdobywało laury w różnych konkursach, wygrywało nagrody. Wnosił swój wkład w życie muzyczne miasta.

Nauczanie w liceum rozpoczął we wrześniu 1961 roku, podejmując się edukacji przedmiotów: geografii i astronomii. Potrafił tak zorganizować i poprowadzić lekcję, by nie była nudna, lecz atrakcyjna, interesująca, aby wciągała uczniów, co mu się świetnie udawało. Posiadał dar skupiania uwagi uczennic i uczniów na najważniejszych problemach w czasie prowadzonych lekcji z tych przedmiotów. Uczył nie tylko geografii i astronomii, ale i całym sobą, swoim postępowaniem, swoim przykładem, swoją osobowością, nie moralizował, nie pouczał, a jednak wychowywał, robiąc to w sposób delikatny, taktowny, zgodnie ze swoją wrażliwą naturą. Jego czasami sarkastyczny dowcip kończył się zawsze morałem, puentą i też uczył. Był świetnym dydaktykiem lubianym i cenionym przez młodzież. Cieszył się dużym poważaniem i szacunkiem wśród młodzieży liceum, zyskując jej uznanie i sympatię.

W kontaktach pozalekcyjnych był prostolinijny, otwarty, szczery, wrażliwy na ludzką biedę i krzywdę, taktowny umiający jednakże zachować pewien niezbędny dystans na linii nauczyciel-uczeń.

Do legendy szkoły przeszła jego orientacyjka na mapie, stanowiąca jeden z głównych trzonów odpowiedzi uczennic

i uczniów z geografii. Każdy pytany musiał się wpiery wykaazać umiejętnością wskazania na rozwieszonych mapach kontynentów, znanych miast świata, półwyspów, pasm górskich i ich szczytów, wysp, rzek, krajów, jezior, mórz, pustyń. Następnie dopiero otrzymywał właściwe pytanie. Końcowa ocena była łączna. Lekcje geografii należały do ciekawych i były tak prowadzone, że ich tło stanowiła swego rodzaju zabawa wciągająca całą klasę, co młodzież lubiła i akceptowała. Nikt na jego lekcjach się nie stresował, nie bał się, nie czuł się zastraszone i dzięki temu jego metoda nauczania przynosiła efekty, bo jego lekcje lubiano i chętnie uczono się też geografii. A więc osiągał tym samym zamierzony cel dydaktyczny. Lekcje prowadzone przez niego nie miały nic ani z nudy, ani ze śmiertelnej powagi, dużo się można było na nich nauczyć, a czas mijał szybko i przyjemnie. Prowadził też w liceum Młodzieżowe Koło Filatelistyczne.

Był bystrym obserwatorem życia i otaczającej rzeczywistości. Jego uwagi pod adresem rządzących niekiedy zawalowane trafiały zawsze w sedno. Wyłapywał różnego rodzaju powiedzonka, znał przysłowia ludowe opowiadane w gwarze, często powtarzał je w oryginale w prywatnych rozmowach, a niekiedy używał ich jako przerywnika na lekcji.

*(ciąg dalszy na stronie 19)*



Do legendy I LO przeszła jego „orientacyjka” na mapie.

# Kobieta przypadkowym



Na scenie podczas konkursu New Look Design 2008, kolekcje czekoladowe ups. Anna Wrona stoi trzecia od prawej.

**Delikatny czekoladowy jedwab miękko opływa ciało. Aksamitny materiał subtelnym dotykiem muska piersi i biodra. Wycięcie na plecach ponętnie odsłania łopatki. Całość czule dopełniają pieszczące falbanki. Losowa sukienka z finału konkursu „Czekoladowy Glamour”. Zmysłowy projekt Anny Wrony pochodzącej z Limanowej.**

## Łańcuszek

Kończyła studia na Akademii Ekonomicznej, gdy przypadkowo natknęła się na ofertę Szkoły Artystycznego Projektowania Ubioru w Krakowie. Tego samego dnia zadzwoniła, zarezerwowała miejsce, złożyła podanie, wpłaciła wpisowe. Wcześniej ubłagała sekretarki, żeby ją przyjęły, chociaż był czerwiec, a zapisy prowadzono dopiero od sierpnia.

Początkowo nie mogła się odnaleźć. Ona – starsza, już po studiach. Oni – w większości dopiero po liceum. Ona – w eleganckim kostiumie i szpilkach. Oni – w szokujących szerokich spodniach po babci, z irokezem na głowie. Ona – wiedząca tylko impulsem, że chce zająć się modą. Oni – z planami snutymi od dzieciństwa, po szkołach plastycznych, z doświadczeniem w szyciu, rysowaniu.

Musiała wiele nadrobić, wiele się nauczyć. Malując martwe natury, rzucała ze zniechęceniem pędzłami. Nierówne ściegi, chaotyczne szwy irytowały. Prawie trzy lata w innym świecie, ale przecież w świecie, w którym intuicyjnie chciała się znaleźć.

## Nabieranie oczek

W dzieciństwie nie szła ubranek dla lalek, nie siedziała przy maszynie. Co najwyżej ubierała papierowe laleczki w wycinane papierowe sukieneczki. I jeszcze rysowała. Najchętniej w zeszytach do chemii. Kilka kresek i już jakaś postać, poza. Do tego kilka pociągnięć piórem i nagość zostawała okryta, czy może właśnie odkryta.



Anna Wrona

## Plecionka krzyżkowa

Świat pokazów mody kojarzy się z pięknem, wytwornością, przepychem, wszystko oczywiście w świetle jupiterów. A tu codzienność - ciężka praca, chaos i ogromne koszty. Żeby przygotować skromny pokaz, trzeba uszyć kolekcję, a więc zainwestować w materiały i dodatki, opłacić szwalnię, później wynająć modelki, oświetleniowca i fotografa. To oczywiście wydatki, które niekoniecznie się zwracają. Bo kolekcja może mieć nabywców, ale nie musi. Trzeba mieć szczęście.

Skończyła zatem szkołę projektowania i ... zajęła się marketingiem, który wcześniej studiowała.

- Mam wielu znajomych, którzy otworzyli swoje butiki. Wynajęli lokale, zadbali o wystrój, przygotowali kolekcję, otworzyli drzwi i czekali na klientów. Po roku trzeba było je zamknąć. Ja podeszłam do sprawy od strony ekonomicznej. Zrobiłam analizę finansową i stwierdziłam, że to się nie kalkuluje.

Pracowała więc w dziale marketingu, pracowała jako grafik komputerowy. A gdy uzbierała trochę funduszy, przygotowywała kolekcję. Pokazy organizowała razem z koleżanką w restauracjach i klubach krakowskich.



# Ściegiem

## Fastryga

- Jak projektuje? Słucham muzyki, ona podsuwa mi pomysły. Innym razem dotykam tkaniny, czuję jej fakturę, instynktownie przewiduję do jakiej formy pasuje, jak będzie się układać. Albo rysowanie zaczynam od postaci. Maluję model w jakiejś pozie i próbuję sobie wyobrazić, w co bym tę osobę ubrała, co do niej pasuje.

## Ścieg przed igłą

W marcu szkoła przysłała maila z informacją o stażu w portugalskiej firmie odzieżowej. Poszła na rozmowę, tak z ciekawości, przypadkowo. Została przyjęta. Z kolegą z Katowic pojechała do Portugalii. Firma chciała rozszerzyć działalność na inne kraje, w tym na Polskę. Ania miała się zająć stroną projektową – opracowaniem kolekcji, zorganizowaniem produkcji.

- Fajne doświadczenie, niestety krótkie. Firmie nie odpowiadały polskie warunki i wysokie koszty produkcji. Zresztą firma nie jest jeszcze znana w Europie. Poza tym jej propozycje nie do końca odpowiadają naszym gustom. Różowy dresik w kwiatuszki jako strój wyjściowy - to nie nasz polski styl.



Fotografie z konkursu „Czekoladowy Glamour” w czasie wielkiej gali New Look Design 2008.



## ► **Ząbki**

- Uwielbiam obserwować ludzi na ulicy. Kraków jest do tego doskonały. Tam jest przekrój osobowości z różnych środowisk, ludzie ze świata artystycznego. Czuję sympatię do tych, którzy nie przejmują się opinią innych, są śmiali, ubierają się tak, bo tak czują. Czasem idę ulicą i widzę kogoś, kto coś z czymś zaskakująco połączył i... aż zamieram z zachwytu!

## **Splot pętłkowy**

Wróciła z Portugalii. Przypadkowo dowiedziała się od koleżanki o prestiżowym konkursie „Czekoladowy Glamour” organizowanym przez Dom Mody Forget-me-Not. Jakies pomysły chodziły jej po głowie, ale wszystko było niekonkretne, płynne. W piątek upływał termin składania projektów. W piątek wyjeżdżała na wakacje. Dzień wcześniej zadzwoniła mama: Narysuj coś. To cię nic nie kosztuje. Będiesz miała spokojne sumienie, że spróbowałaś.

Więc spróbowała. Zamknęła się w pokoju, puściła głośno muzykę i zaczęła coś rysować. Pierwszy projekt był męczarnią. Czekoladowe kolory. Sukienka. Coś oryginalnego. Coś retro. Drugi rysunek i... później samo poszło. Siedem projektów w jedną noc. Wszystko wysłała mailem, przekonana, że i tak nic z tego nie będzie. I pojechała na wakacje.

## **Haft właściwy**

Uwielbia czekoladę. Każda sukienka była więc czekoladką z pudełeczka. Każda o innym smaku. Każda z innym nadzieniem – falbankami, wachlarzami. Do tego kobieca, delikatna, podkreślająca kształty, lejąca się, pieszcząca ciało. W rytmie tanga...

## **Półsłupek**

Dostała maila. Spośród przysłanych kolekcji ponad stu osób wybrano pięć. W tym jej!

- Początkowo kolekcja zmierzała w kierunku teatralnym. Obie z właścicielką Domu Mody w Warszawie lubimy prostą elegancję, więc zaraz po konsultacjach, odrobinę zmieniłam projekty. Stąd sukienki, które może nie zadziwiają formą, ale nadają się od razu do noszenia i są bardzo kobiece.



Anna Wrona w czasie pracy z modelką.

## **Obdzierganie**

W czasie pokazu jest stres i adrenalina. Na przebranie modelka ma pół minuty. Wpada za kulisy. Zrzuca wszystko. Biegnie do następnego przebrania. A projektantka szybko dogląda. Dopina. Poprawia. Maksymalny pośpiech.

## **I słupek**

Była wielka gala New Look Design 2008 w hotelu InterContinental w Warszawie. Były reflektory, dynamiczna muzyka, modelki na wybiegu, błysk reporterskich fleszy, gwiazdy zasiadające wśród publiczności.

- Było fajnie – krótko podsumowuje Anna Wrona – jedna z pięciu finalistek.

Po konkursie firma sponsorska zabrała projekty i kolekcje na własność.

## **Jersey**

- W Polsce jest jeszcze bardzo ciężko w branży mody. Zwłaszcza zaraz po szkole. Konkursy bardzo pomagają. Gdzieś można zostać zauważonym. Nie jest się już osobą anonimową. Ma się większe szanse.

## **Stębnówka**

W Lublinie co roku organizowana jest Gala Młodych Polskich Projektantów „Prowokacje”. Traf chciał, że dowiedziała się o możliwości wystawienia kolekcji. „Prowokacje” mają zaskakiwać. Dawniej odślaniano kobiecą pierś czy pośladek - to szokowało. Teraz zadziwia się materiałem, formą, przeznaczeniem.

- Bardzo podobała mi się ubiegłoroczna kolekcja „Kawa czy herbata”. Wszystko wyszywane było ziarenkami kawy i torebkami herbaty. Z daleka wyglądały jak kamienie szlachetne.

Ania wymyśliła sukienkę, którą wdzięcznie nazywa - „kobieta kryzysowa”. To jeden model, który można upinać na wiele sposobów. Idealne rozwiązanie w dobie kryzysu. Kobieta jest istotą zmienną. Bywa spokojna elegancka, by za moment zmienić się w drapieżną kotkę, a po chwili stać się delikatną dziewczynką. Dlatego sukienka daje możliwość dostosowania do aktualnego stanu emocjonalnego, czy do okazji. Stąd w projekcie 30 zatrzasków, kilkanaście zamków. Można dopinać, przepinać, zmieniać. Co najmniej dziewięć odsłon jednej sukienki, która prowokuje nie formą wizualną ale pomysłem.

## **Przeplatanka**

Sama lubi kreacje przede wszystkim wygodne. Do tego kolorowe. Kocha buty i torebki. Czasem zakłada rzeczy, które nie zawsze do siebie pasują. Taka losowa zabawa strojem daje jej pozytywną energię. Ale na co dzień ceni jeansy. Ze strojem szaleje w lecie. W zimie jest ciepłolubnym niedźwiadkiem. Zamyka się w ciepłej norce, przy kominku i nie przejmuje się tym, jak wygląda.

## **Ścieg za igłą**

- Marzę o własnym butik. Chcę projektować stroje, które będą się podobać, a przede wszystkim będą dodawać uroku osobie, która je nosi. Jeśli kobieta czuje się w kreacji wyjątkowo, wtedy projekt spełni swoje zadanie.

## **Na okrętę**

„O kobiety, kobiety – powiedział Szekspir, i źle powiedział. Należało powiedzieć: ach, wy kobiety, kobiety!” (Antoni Czechow).

**Tekst: Jolanta Bugajska**  
**Fotografie z arch. Anny Wrony**

## Wspomnienie o Andrzeju Gibasie

Pasję jego życia stanowiła turystyka, której poświęcał wszystkie wolne chwile. Umiał nią zarazić młodzież, kierując jej zainteresowania na piękno otaczających gór i przyrody. Od 1967 roku kierował w liceum Szkolnym Kołem Turystyczno-Krajoznawczym. Organizacja ta wniosła bardzo duży wkład w poznanie kraju oraz w organizację czasu wolnego młodzieży. Działalność jej przejawiała się szczególnie w organizacji wycieczek krajoznawczych, obozów wędrownych, udziału w rajdach i w zlotach. SKTK organizowało corocznie rajd im. Władysława Orkana, zaś od roku 1971 było organizatorem w szkole Zjazdu Wojewódzkich Ośrodków Krajoznawczo-Turystycznych, któremu podlegało od chwili swojego powstania. Wiedział, że wędrowki po górach zawierają w sobie walor edukacyjny i wychowawczy. Głównym, bowiem celem pieszych górskich wycieczek jest wzbogacanie wiedzy o kraju ojczystym, kształtowanie właściwego stosunku do przyrody, poznanie historii, kultury materialnej i duchowej mieszkańców regionu. Wędrowki górskie umożliwiają łączenie aktywności fizycznej z różnorodnością procesów poznawczych oraz przeżycie turystycznej przygody pozostającej w pamięci młodzieży często przez całe życie.

Czynnie angażował się w pracę społeczną na rzecz regionu. Posiadał zmysł organizacyjny i zapał krajoznawczy. Wniósł swój niepodważalny wkład w powołanie limanowskiego Oddziału PTTK. Początkowo PTTK w Limanowej i na Ziemi Limanowskiej rozwijało się tylko w kołach PTTK, istniejących przy szkołach średnich i podstawowych. To właśnie turystyka młodzieżowa zapoczątkowała rozwój turystyki wśród społeczeństwa limanowskiego. Wiodącą rolę w upowszechnianiu turystyki odegrali niezapomniani ludzie tej miary, co: Leopold Węgrzynowicz, Andrzej Gibas, Wilhelm Tabor i Maria Kalisz. Pod koniec lat 60-tych prof. Andrzej Gibas stanął na czele Komisji Młodzieżowej powołanej w ramach Oddziału PTTK w Limanowej w skład, której weszli: Maria Kalisz, Jerzy Ligęza, Władysław Wietrzny i Józef Staniszewski. Pod jego kierownictwem Komisja Młodzieżowa propagowała turystykę i krajoznawstwo wśród młodzieży szkolnej. Koordynowała działalność Szkolnych Kół PTTK istniejących we wszystkich szkołach podstawowych i średnich miasta. Organizowała wśród młodzieży szkolnej kon-

kursy krajoznawcze i krasomówcze, wycieczki szkolne, szkolenia młodzieżowych organizatorów turystyki. Profesor Gibas należał do wąskiego grona współzałożycieli Muzeum Ziemi Limanowskiej.

Z jego inicjatywy powołano międzyskolne koło organizatorów turystyki, którego prezesem został wówczas uczeń Liceum Ogólnokształcącego Jerzy Wojtas. Był jednym z wykładowców kursu organizatorów turystyki, na który uczęszczałem, objaśniającym nie tylko budowę i powstanie gór, ale i podkreślającym ich niepowtarzalny czar, piękno i urok. Przez wiele lat wraz z prof. Józefem Staniszewskim prowadził w wakacje dwutygodniowe obozy wędrownie w pasie od Gór Stołowych po Bieszczady. Na zakończenie kursu organizatorów turystyki zorganizowano w sierpniu 1967 roku dwutygodniowy obóz wędrowny zaczynający się w Bochni a kończący w Zakopanem. Wspominam go, jako piękną przygodę z górami, przyrodą, wspaniałymi krajobrazami i atmosferą dzięki między innymi prof. Gibasowi i prof. Staniszewskiemu. Prof. Gibas objaśniał nam nie tylko ukształtowanie gór, budowę geologiczną, oznaczał ich czas powstania, ale opisywał też ich przeobrażenia pod wpływem warunków naturalnych. Był świetnym towarzyszem wędrowki po górach, czas na postojach umiłał swoimi opowieściami, dygresjami, niekiedy okraszając je swoimi dowcipami.

Kochał turystykę, zwłaszcza wycieczki w Beskidy, szczególnie Beskid Wyspowy i Gorce, którymi był zauroczony i przez które wielokrotnie wędrował wraz z młodzieżą pokazując najpiękniejsze zakątki, unikalną przyrodę, jakby przeczuwając, że za parędziesiąt lat z powodu wszechobecnej cywilizacji będą już niemożliwe do zobaczenia w ich pierwotnej postaci. Pokazywał nam urokliwe, jakby zapomniane, niejednokrotnie niedoceniane miejsca, opowiadał o nich, wskazywał je, zadziwiał bezpośredniością obserwacji. Zwracał uwagę na piękno polskiej architektury drewnianej stare góralskie chałupy, drewniane kościółki i kaplice, przydrożne świątki i kapliczki będące świadkami minionych czasów.

Był także przewodnikiem terenowym z uprawnieniami na teren dawnego województwa krakowskiego i aktywnym działaczem Komisji Turystyki Górskiej. W 1967 roku wraz z Janem Wielkim zmieniali przebieg szlaku niebieskiego z Limanowej na



Andrzej Gibas w czasie lekcji geografii w I LO w Limanowej.

przełęcz Ostrą koło Cichonia, prowadzącą przez Jabłoniec i Golców, aby umożliwić turystom zapoznanie się z cmentarzami wojennymi z roku 1914 znajdującymi się w otoczeniu Limanowej. Razem też wytyczyli i wyznakowali ciekawy i długi szlak zielony z Limanowej przez Paproć, Tymbark, Kostrzę i Jodłownik do Szczyrzyca. Szlak ten połączył wschodnią część Beskidu Wyspowego z jego rejonem zachodnim. W zamierzeniach jego twórców miał przybliżyć turystom najpiękniejsze zakątki Limanowszczyzny.

Interesował się muzyką, fotografią i instrumentami muzycznymi szczególnie organami, których budowę znał do perfekcji, tworzył ich liczne szkice. Był korespondentem czasopisma „Poznaj swój kraj”, do którego pisał artykuły opisujące bogactwo przyrody, odmiennosc środowiska ludzkiego i piękno Beskidu Wyspowego oraz Gorców.

W swoją ostatnią podróż wyruszył nagle, w wiośnie życia, w pełni sił twórczych, tuż przed zbliżającą się zimą 18 grudnia 1977 roku. Został pochowany w grobowcu rodzinnym na cmentarzu parafialnym w Limanowej. Wśród uczennic i uczniów, których uczył pozostanie na zawsze postacią zasługującą na głęboki szacunek i wdzięczną pamięć.

**Tekst: Tomasz Jan Biedroń**  
**Fot. ze zbiorów rodzinnych Gibasów**

1. Limanowa. Dzieje miasta tom II, 1945-1989, Kraków 2002

2. J. Sz. Wroński, Wspomnienia z lat szkolnych 1967-1970/71, w: 50 lat I Liceum Ogólnokształcącego im. Wł. Orkana w Limanowej, Nowy Sącz 1995

3. A. Gibas, W krainie gór wyspowych, „Poznaj swój kraj”, 1971

4. Krystyna Długosz (Gibasowa), Relacja pisemna



# Misjonarz wśród potomków

**Ks. Antoni Kądziołka od dziesięciu lat jest misjonarzem w Boliwii. – Tam naprawdę czuję się potrzebny – twierdzi.**

**- Już tęsknię za Boliwią. Z radością myślę o powrocie. Tu już mi się nudzi. Brakuje mi pracy i bezpośredniego kontaktu z parafianami. Tam naprawdę czuję się potrzebny – wyznaje ksiądz Antoni Kądziołka, urlopujący w rodzinnej Limanowej misjonarz z Boliwii.**

**Do Ameryki Południowej przybył w styczniu 1999 r. Wcześniej przeszedł studium przygotowawcze w Centrum Formacji Misyjnej, był też przez cztery miesiące w Hiszpanii, by szlifować język.**

**- Już wcześniej widziałem i czułem potrzebę wyjazdu na misje. Byłem zdecydowany, że chcę trafić do Boliwii. Tam byli księża z diecezji tarnowskiej, w tym kolega z mojego roku ks. Stanisław Jeż. Pojechałem, żeby pomóc. Oni wyjechali, ja zostałem.**

**Pierwsze wrażenia były dramatyczne. Aiquile, gdzie trafił, w maju 1998 r. nawiedziło trzęsienie ziemi. Ludzie, obawiając się niebezpieczeństwa, zaczęli masowo wyjeżdżać. Wszystko było w ruinie, domy w zgliszczach, kościół w gruzach. Wokół tylko niebieskie namioty humanitarne. Trzeba było zacząć wszystko od podstaw.**

## **Padre Antonio**

Po dziesięciu latach działalności ksiądz Kądziołka jest bardzo dobrze znany w swojej parafii.

- Padre Antonio, Padre Antonio – tak zwracają się do niego mieszkańcy, choć z niektórymi spotyka się pierwszy raz w życiu.

Praca misjonarza to rozwijanie życia religijnego, ale też budowanie odpowiedniego zaplecza materialnego. Trudno odprawiać nabożeństwa bez kościoła. Trudno katechizować bez szkoły. Dlatego działania ks. Antoniego, proboszcza parafii w Aiquile, poszły w trzech kierunkach: pogłębianie religijności, budowa kościoła i rozwój szkolnictwa.

Aiquile leży na szlaku między trzema departamentami: Cochabamba, Chuquisaca, Santa Cruz. Parafia jest bardzo rozległa, rozciąga się na przestrzeni 3,5 tys. km<sup>2</sup> górzystego, skalistego terenu. W swym zasięgu ma około 28 tys. mieszkańców, 85 procent z nich to katolicy. Większość z nich żyje w wioskach rozsianych po Andach. Ludzie docierają do kościoła raz na jakiś czas, np. na roczne nabożeństwo. Do 93 wiosek leżących w parafii trzeba dojechać. Do pomocy ks. Kądziołka ma tylko jednego wikariusza, który jest równocześnie dyrektorem rozgłośni radiowej. Drogi są kamieniste, w niektórych rejonach nieprzejezdne. Aby dotrzeć do miejsca oddalonego o ponad 200 kilometrów, ksiądz Antoni wyjeżdża samochodem o 4. rano. Po 4 godzinach jest na miejscu, odprawia mszę, załatwia przeróżne sprawy, głównie papierkowe i wraca. W Aiquile jest na 11. w nocy. Są też takie miejsca, do których trzeba iść pieszo 5 – 6 godzin. Taka wyprawa zajmuje dwa dni.

- Tu sobie tego nie wyobrażamy. Dwa kilometry i już wydaje się, że jest daleko. A tam 200 km i to jest normalna



# Inków

Jolanta Bugajska

odległość. Taki odcinek pokonuje się w 4 - 6 godzin połąną drogą.

## Wśród potomków Inków

Po przybyciu do Boliwii zabrał się za odbudowę kościoła. 2 lutego 1999 r. było poświęcenie kamienia węgielnego. Rok później ruszyła budowa katedry, którą zakończono już w 2004 r., ale prace wykończeniowe trwają nadal. W kwietniu 2004 r. kościołowi nadano tytuł sanktuarium Matki Bożej Gromnicznej.

Rejon Aiquile to tereny potomków Inków. Samo katechizowanie nie polega na eliminowaniu pierwotnych wierzeń, a raczej na ich oswojaniu, wykorzystywaniu w kulcie chrześcijańskim.

- Te pierwotne wierzenia „się chrześci”. Trzeba wykorzystać wierzenia pogańskie, żeby przedstawić wiarę katolicką. Przykładowo Matka Ziemia została zamieniona w Matkę Bożą. W ten sposób zgodnie z dawnym kultem w pierwszy piątek ludzie spalają nieczystości i winy. Tyle że teraz spalanie polega na okadzaniu figury Matki Boskiej, przeproszaniu za grzechy i modlitwie o błogosławieństwo.

Inną ciekawostką życia religijnego mieszkańców Boliwii może być kult kamieni, czy drzew, które swoim kształtem przypominają symbol krzyża. Takie kamienie parafianie od razu przynoszą do poświęcenia. Traktują je tak, jakby miały magiczną moc.

- To co mnie szczególnie urzeka, to ich wiara w świętych i cześć oddawana zmarłym. Także obchody świąt wywierają duże wrażenie. W takie dni cała wioska uczestniczy w nabożeństwie. Potem wszyscy się bawią – opowiada ks. Kądziołka.

## Odcisk palca

- Aiquile jest wolne od analfabetyzmu – głosił naczelnik gminy. Transparenty o takiej treści zawisły w mieście.

- Tak? – zdziwił się w prywatnej rozmowie ksiądz Antoni. – A co to niby jest ten kciuk, który mieszkańcy mi pokazują? Dlaczego odcisk palca traktują jak podpis?

Rozmowa nie wymagała kontynuacji. Następnego dnia plakaty z chwytliwym hasłem zniknęły.

Niestety, w Boliwii analfabetyzm jest dość powszechny zwłaszcza wśród ludzi ze starszego pokolenia. Ich jednak już się nie uczy, nacisk kładzie się na młode pokolenie.

- To zmusiło mnie do działania. Pro-

wadzimy trwające siedem semestrów studia zaoczne. Studenci realizują ten sam program co na Uniwersytecie Katolickim w Cochabambie. Przygotowują się do uczenia. Dopiero od kilku lat religia jest w szkole, wcześniej nie było katechetów.

## Ku laicyzacji

Jak obecnie wygląda sytuacja w Boliwii? Czy jest niebezpiecznie?

- Od dwóch lat rządzi tubylec, Indianin Evo Morales. Prezydent zapomniał, że jest katolikiem, że wyszedł z naszej diecezji. Chce wykreślić z historii 500 lat chrześcijaństwa. Mówi, że Kościół to ci, którzy uciskali i uciskają. W nowej konstytucji, która ma być proklamowana w styczniu, nie ma już słowa o Bogu. Państwo dąży do laicyzacji. Wprowadzono cenzurę, a pod adresem wyższych duchownych padły słowne pogroźki - relacjonuje ksiądz Kądziołka.

Na razie, jak mówi, nie ma poczucia zagrożenia. Wybuchające w Boliwii krwawo tłumione protesty i związane z nimi zamieszki dotyczą dużych miast i nie mają podłoża religijnego.

- Zobaczymy jak sytuacja będzie się rozwijać. Zostanę na miejscu jak długo będzie to możliwe, ale nie będę się świadomie narażał.

## ► Myśli po hiszpańsku

Ks. Antonii wydaje się ważyć słowa, co jakiś czas przerywa, szukając brakującego wyrazu. Nie jest to wynikiem rozważnej politycznej poprawności.

- To dlatego, że ja właściwie już myślę po hiszpańsku – przyznaje. – 10 lat pobytu w Boliwii robi swoje. Tam posługuję się językiem hiszpańskim, mówię, słucham w tym języku, w końcu zacząłem myśleć. To może się wydawać dziwne, ale wyrażenie się po polsku czasem sprawia mi trudności.

Ksiądz Kądziołka włada też językiem keczua. W rejonie Aiquile jest to konieczne. Wielu mieszkańców nie mówi po hiszpańsku, posługują się tylko swoim narzeczem.

- To taki polski kaszubski – śmieje się ksiądz Antoni. – Jakoś się porozumiewamy, ale gdy wygłaszam kazanie, proszę katechetów o tłumaczenie. W języku keczua niewłaściwe zaakcentowanie wyrazu zmienia jego sens. Dla nas „tanta” brzmi tak samo, ale w zależności od wymowy to słowo może znaczyć „chleb”, „stary” albo „konkubinat”. Złe zaakcentowanie może prowadzić do poważnych nieporozumień.

## Pasterka z figurkami

Hiszpański język, hiszpańskie myśli, ale sentyment do polskiej tradycji pozostał. W tym roku ksiądz Kądziołka Święta Bożego Narodzenia spędził w Limanowej, choć w Polsce bywa rzadko, średnio raz na trzy lata.

Święta w Boliwii oczywiście różnią się od tych polskich. Zwykle jest bardzo

gorąco, czasem pada deszcz. Nie ma wieczery wigilijnej, za to w każdym domu jest szopka. Mieszkańcy przychodzą na Pasterkę z figurkami dzieciątka Jezus. Składają je pod ołtarzem i czekają na błogosławieństwo.

- Oczywiście im mocniej się pokropi tym lepiej, wtedy znać, że figurka została poświęcona. Czasami zostawiają figurkę na mszę, żeby wysłuchała mszy. Poza tym, w zależności od pogody, w czasie Pasterki lub przed nią organizowane są jasełka.

W Boże Narodzenie msze święte są do południa. Później parafianie słyszą, że mają odwiedzić swoje familie, bo święta to czas rodzinny. Najubożsi są zapraszani na poczęstunek i rozdanie upominków. Najpierw jest nabożeństwo, później wszyscy spotykają się w teatrze.

- W teatrze. My tak mówimy, ale to po prostu duża sala, którą tak nazywamy.

Tam wyświetlany jest film religijny dla dzieci. Wychodząc, wszyscy dostają paczuski. Dla mam są potrzebne produkty: ryż, makaron, mąka, cukier, olej, a dla dzieci - jakieś słodycze.

- Przeważnie rozdajemy 600-700 paczek. Środki bierzemy z pieniędzy parafialnych i od darczyńców. Czasem trzeba się zadłużyć, ale w ciągu roku wszystko splacamy.

Boliwijczycy nie mają oplatka, ale przyswoili do swych tradycji choinkę, oczywiście u nich są to sztuczne drzewka. Poza tym domy są przystrojone mnóstwem lampeczek, dekoracje są wymyślne i kolorowe. Naturalnie tak jest w miastach, na wsiach często jeszcze nie ma prądu.



## Tacy sami

Brak elektryczności, telefonu, trudne do pokonania szlaki, analfabetyzm, nieznajomość religijnych podstaw, skrajne ubóstwo to misyjna codzienność. A jednak ta rzeczywistość wciąga i staje się naturalna.

- Mentalność mieszkańców Boliwii różni się trochę od naszej. To naród wędrowników i taką też ma naturę, a brak pracy często zmusza ich do migracji. A jednak stwierdzam, że w każdym człowieku tkwi to samo. Boliwijczycy mają te same problemy, rozterki co każdy człowiek. Tak mi się przynajmniej wydaje. A może już tak wsiąknę w ich życie, że nie dostrzegam różnic?

**Tekst: Jolanta Bugajska  
Fot. z arch. ks. A. Kądziołki**



# Stworzony do rozrywki

Jolanta Bugajska

## Rozmowa z Grzegorzem Kupcem – realizatorem wizji TV

- Jakim byłeś chłopcem w dzieciństwie? Łobuzem czy grzecznym uczniem?

- Byliśmy paczką znajomych – ja, Włodek Sochacki, Andrzej Wrona, Robert Mól i zachowywaliśmy się chyba jak całkiem normalni chłopcy. Nikt nie stwierdził u nas ADHD, zresztą rodzice w jeden wieczór by nas z tego wyleczyli. Po wywiadówkach nieraz nas „leczyli” z wszelkich „przypadłości”.

- Marzyłeś wtedy o pracy w telewizji?

- W życiu! Chciałem być chirurgiem. A potem pojawiała się architektura. Jeździłem z Robertem Molem przez rok na lekcje rysunku do Krakowa. To w ogóle była pomyłka. Nigdy nie byłem dobry z przedmiotów ścisłych. Można powiedzieć, że byłem matolem matematycznym. Profesor Zboś i profesorka Szewczykowska załamywali nade mną ręce.

- A trafiłeś do telewizji.

- To był splot różnego rodzaju przypadków. Na architekturze poznałem człowieka, który znał redaktorów Andrzeja Kurka i Zdzisława Kamińskiego z telewizyjnej Sondi. Trafiłem do programu. Zajmowałem się organizacją produkcji, czasem dźwiękiem. Zaproponowali mi stanowisko drugiego kierownika produkcji i... Byłem ostatnim człowiekiem, który widział Kurka i Kamińskiego żywych. Jedliśmy kolację w hotelu Forum w Krakowie. Rozstaliśmy się o 12. w nocy. Ja wyjechałem do Limanowej, a oni o 5. rano ruszyli na zdjęcia do Raciborza. Rano usłyszałem w radio, że zginęli w wypadku samochodowym. Nie mogłem w to uwierzyć. Równocześnie całe moje życie totalnie się zmieniło. Później wspólnie z Piotrkim Trelą, synem Jerzego Treli, założyliśmy Dom Produkcyjny, Maszachaba Studio M. Produkowaliśmy programy dla TVP 2 - dla Niny Terentiew. Aż przyszedł moment, gdy chcieliśmy realizować się indywidualnie. W tym miejscu zaczyna się moja przygoda z TVN. Przez długi czas byłem w telewizji montażystą. Któregoś dnia wezwał mnie szef TVN, dał mi dwóch świetnych operatorów i razem z Andrzejem Sołtysikiem i Sandrą Walter wysłał jako realizatora do Cannes na festiwal filmowy.

- Tak na żywioł?

- Tak, wskoczyłem od razu. Sprzęt wtedy był jeszcze prymitywny, nie wiadomo było kiedy jest wejście, łączność spadała... To było straszne, ale równocześnie to był świetny poligon – przeżyłem wszystko co najgorszego mogło się w realizacji wydarzyć. Poradziłem sobie z tym na tyle, że po powrocie szef TVN Mariusz Walter wręczył nam dyplomy-podziękowania. Siłą rzeczy zacząłem realizować programy. Powiem szczerze, że to wszystko stało się w dobrym momencie. Akurat w „Telewizjerze” dostałem do montażu zdjęcia operacyjne policji z morderstwa szesnastoletniego chłopca, którego oprawca poćwiartował na kawałki. Jakoś tak jest, że człowiek trochę żyje życiem swoich bohaterów. Rzuciłem montaż bez żalu. Poważne, smutne programy interwencyjne są oczywiście potrzebne. Fundacja „Zielone drzwi” pani Bożeny Walter, dla której mon-



Grzegorz Kupiec

towałem wiele programów o chorych ludziach, robi wiele dobrego. Miałem świadomość, że w jakimś stopniu przyczyniam się do tego. Tylko że ja jestem bardziej do rozrywki stworzony.

- Robienie programów rozrywkowych nie jest takie łatwe.

- Niestety moje pokolenie jest wychowane na „Chłopach”, „Siłacze”, na wszystkim co smutne. Pracując z ludźmi z zachodu widzę, że oni mają zupełnie inne, proste myślenie o rozrywce. Przykładowo, robiłem program – „Narodowy test na prawo jazdy”. Andrzej Sołtysik z Ewą Drzyzgą mieli go prowadzić siedząc w samochodzie ufundowanym przez sponsora. Producentem był Holender - Rinke Rooyens. Jest próba i okazuje się, że prowadzących nie można dobrze doświetlić, nieładnie wyglądają. Holender mówi: źle wychodzi to odsyłamy samochód. Co powiedziałby polski producent? - dostaliśmy samochód to go wykorzystajmy. Ludzie z zachodu mają rozmach, którego nam brakuje. Oni potrafią podejmować decyzje błyskawicznie i bezkompromisowo. My nie mamy tej śmiałości i odwagi. W rozrywce zawsze kombinujemy, wymyślamy, szukamy jakiejś analogii, odwołujemy się do czegoś, co jest ważne dla Polaków. To nie jest dobra droga. Należy robić po prostu – ładnie, kolorowo i konsekwentnie. Tyle że ja mam komercję wyuczoną, u nich wypływa ona z serca.

- Styl Kuby Wojewódzkiego, to to co Ci najbardziej odpowiada? ▶

► - Tak, uwielbiam z nim pracować. To jest ten program, który najbardziej lubię robić. Inteligentna rozrywka bliska mojemu sercu. Kuba daje dużo swobody, sam jest niepowtarzalny, super inteligentny, a przy tym normalny. Skupia na sobie uwagę i wymaga szybkiej reakcji. W trakcie realizacji daje adrenalinę, muszą być cały czas w pogotowiu, bo jego reakcje są nieprzewidywane. A ważne są sekundy, bo jeśli jakaś reakcja nie zostanie ograna, to wypada z programu.

- *Prywatnie Wojewódzki jest taki jak na ekranie?*

- Prywatnie – nie. Chodzi w czapeczce bejsbolowej, jest skromny i dobrze wychowany. Jest fajnym człowiekiem i dużym profesjonalistą. W programie przyjął sobie taką rolę i chyba nikt mu nie dorówna. Z Michałem Koterskim Polsat próbował robić coś podobnego, ale kiedyś z nim pracowałem i wiem, że jest on całkowicie nie do okielzania, to trudna współpraca.

- *A jak Ci się pracuje z innymi?*

- Ania Wesołowska jest przewspañiałą kobietą. Zawsze jak przyjeżdża do Krakowa, pokazuję jej nowo otwarte restauracje. Nie pochodzi z naszego środowiska telewizyjnego, jest czynnym sędzią, pracuje w Łodzi. Zaufała nam, a miała bardzo dużo do stracenia. Wizerunek Ani, jaki tworzy telewizja, jest przecież

twój syn wygląda? Nie masz o tym pojęcia, prawda?” Pierwsze zdanie i już łyzy. Przy Dorocie ludzie się otwierają.

- *Generalnie idzie się w kierunku tego, żeby pokazać naturalizm?*

- Naturalizm kontrolowany. Dawniej była taka moda, że prowadzący rozmawiał z gościem przed programem. Dziś się od tego całkiem odchodzi. Prowadzący i jego pytania mają być zaskoczeniem dla gościa. Generalnie chodzi o naturalizm, choć widzowie być może tego nie widzą. Rozmowy w większości programów są prawdziwe. Wyjątkiem są „Sędziowie” robieni zgodnie ze scenariuszem. Tam są pewne procedury, związane z kruczkami prawnymi, które muszą być zachowane. Ale w pozostałych programach emocje powstają, gdy prowadzący zaczyna rozmowę z gościem. Czasem ktoś pyta mnie, ile telewizja płaci tym, którzy występują u Ewy Drzyzgi. A to są osoby, które same przychodzą do programu, chcą po prostu opowiedzieć o sobie, chcą być wysłuchane, a Ewa ma tę umiejętność, takt i ciepło. łyzy, które tam płyną, są jak najbardziej naturalne. Inna rzecz, że telewizji właśnie na tym zależy, na pokazaniu emocji. Zwraca się więc uwagę na dłonie, nerwowe ruchy, gesty, bo przecież człowiek mówi całym ciałem. Najgorszy jest gość, który usiądzie i tylko mówi, nie ma body language.



opiniotwórczy. Często po realizacjach jeździmy na wspólne kolacje. Okazuje się, że ekipa nie jest sobą zmęczona i to jest najbardziej miarodajne. Z Ewą Drzyzgą świetnie się współpracuje – genialna profesjonalistka, zawsze przed programem długo rozmawiamy o gościach. Każda sprawa jest inna i często wykracza poza scenariusz, dlatego przygotowujemy się na różne możliwości. Ewa ma fajne pomysły realizacyjne. Dorota Wellman ma genialny program – „Ten jeden dzień” - rozmowy z ludźmi, którym sekunda, godzina, dzień przewróciły życie do góry nogami. Jest bardzo naturalna, choć ma wcześniej przygotowane pytania. Zawsze zapowiada mi: ja nie wiem co zrobię w tym programie, bądź czujny. Kiedyś mieliśmy program o kobiecie, której mąż uprowadził dziecko i wyjechał za granicę. Widzę, że Dorota ma coś w ręce, więc jestem czujny. Oczywiście Dorota nigdy nie powie, że coś planuje, ale to dobrze, bo to wymaga ode mnie uwagi i koncentracji. Zaczynamy, pierwsze słowa Doroty: „słuchaj, tak wygląda mój syn” i pokazuje kobiecie zdjęcie. „A jak

- *Sama realizacja to Twoje pomysły?*

- Tak, pomysły realizacyjne są raczej moje. Ustalam z reżyserem, jak program powinien wyglądać, potem weryfikujemy to co na papierze. W tym temacie świetnie rozumiem się z moim krajanem, Sławkiem Czyrnikiem, który jest producentem. Za każdym razem, gdy zaczynam nowy talk show, obawiam się, czy znajdę patent na coś innego. Niedawno zacząłem realizację nowego programu z Krzysztofem Materną. To na razie pilot, który ma wejść do produkcji od stycznia. Pracuję z reżyserem filmowym Tomkiem Drozdowiczem. To trochę ewenement a równocześnie ciekawe doświadczenie, bo film, telewizja i reklama to trzy różne światy. Przesiedzieliśmy kilka godzin nad kształtem tego programu i jak się okazało, powstała nowa jakość.

- *Realizacja, rozrywka to, to co naprawdę Cię interesuje? A może planujesz zmiany?*



- Jak zaczynałem pracować w telewizji, wydawało mi się, że wskoczyłem do bajki. Teraz po latach uważam, że to praca jak każda inna, ale lubię swoją pracę. Co innego mógłbym w życiu robić? Młotką nie trzymałem, nie potrafię się posługiwać śrubokrętem, gwoźdźnia nie wbije, na prądzie się nie znam, nie wiem jaki mam silnik pod klapą w samochodzie. . . Myślę jednak o pewnej zmianie. Trzeba zrobić krok do przodu. Ciągłe wyjazdy do Warszawy stają się męczące. Planuję z kilkoma osobami produkcję poważnego, współczesnego serialu obyczajowego dla TVN. Mam ambicje bycia producentem, ale bardziej wykonawczym – szefem realizacji.

- *A nie myślałeś, żeby stanąć po drugiej stronie kamery?*

- Nie, nigdy! Ja się do tego nie nadaję. Kiedyś, po produkcji jakiegoś filmu dokumentalnego, występowałem u Joli Fajkowskiej w Dwójce. To było straszne, takie występy mnie mrozą, spinam się. Mogę kreować, wymyślać ludziom wizerunki, ale sam nie mógłbym występować. Trema by mnie zjadła. Podziwiam prowadzących. Są niesamowici, prowadzą program, a równocześnie przez słuchawkę cały czas dostają od nas informacje: przejdź w lewo, popytaj jeszcze ludzi, musisz pociągnąć jeszcze pół minuty rozmowy do reklam. Świetnym prowadzącym jest Andrzej Sołtysik. Uwielbiam z nim pracować. Ma niesamowitą podzielność uwagi. Opowiadam mu przez słuchawkę kawały, on mnie słucha, a równocześnie mówi do

„Sędziów” od razu. To wymaga przygotowania, bo muszę znać scenariusze. Rano o 9. jest odprawa z prawnikami, przedyskutujemy scenariusz, przystępujemy do nagrania. Kończymy ok. 20. Potem kolacja, podróż do hotelu i dwa scenariusze do przestudiowania na następny dzień. Często realizuję też koncerty, to jeszcze inna sytuacja – próby są od rana do południa, a potem koncerty do północy. Tak to idzie, na nic nie ma czasu.

- *A czas na życie prywatne, na odskocznię od pracy?*

- Przy najprostszej realizacji mam sześć do ośmiu kamer i dwanaście, trzynaście monitorów przed sobą. Przy zwykłej realizacji – trzydzieści monitorów, na których cały czas coś się dzieje. Nieustannie muszę mieć podzielną uwagę i jeszcze bez przerwy mówić do operatorów, która kamera, jaki plan, bo oni nie mają scenariuszy przed sobą. Wszystko błyskawicznie i w pełnej koncentracji. Po takich realizacjach tak naprawdę człowiek nie ma już ochoty na nic tylko na zamknięcie się w domowej ciszy. W listopadzie praktycznie nie miałem ani jednego dnia wolnego. Taki bardziej martwy sezon w telewizji, gdy zmienia się ramówka i lecają powtórki, jest w styczniu. Od trzech lat jeżdżę w styczniu na miesiąc do Tajlandii. Uwielbiam ciepło, mam nadzieję, że na stare lata tam spędzę resztę życia.

- *Często bywasz w rodzinnej Limanowej?*



ludzi. Gdy zamilknę, żąda: mów do mnie, bo jak nikt nie mówi, to mam wrażenie, że nikogo tam w realizacji nie ma.

- *Wspominałeś o ciągłych wyjazdach do Warszawy. Jak wygląda Twój zwykły dzień pracy?*

- Pierwsze dwadzieścia lat mieszkałem w Limanowej, kolejne dwadzieścia mieszkam w Krakowie, ale często pracuję w Warszawie, tam mam stały pokój hotelowy. Sypiam po cztery godziny na dobę. Uważam, że nie można lubić spać, bo jak się śpi, to się nie wie, że się śpi. Jak można lubić coś, czego się nie jest świadomym? Jeśli pracuję w Krakowie, to zaczynam o 7. rano w kawiarni Rio na Jana. Mam tam grupę znajomych, z którymi piję poranną kawę. To są znajomi spoza telewizji – jest wśród nich główny konserwator zabytków na Wawelu, najlepszy zegarmistrz w Krakowie, wykładowca na ASP. Próby np. do „Rozmów w toku” zaczynają się od godz. 10., potem są nagrania do późnego wieczoru. W Warszawie jest trochę inaczej – gram dwa odcinki

- Bardzo rzadko, częściej tata z żoną wpadają do mnie do Krakowa. Ale jestem tu dwa, trzy razy w roku. Większy kontakt ze starymi znajomymi mam przez „naszą klasę”. Teraz szykuje się realizacja w Berlinie, ale o tym jeszcze nie mogę mówić. To absurdalne, bo jestem domatorem, a wiecznie spędzam czas na walizkach, w rozjazdach, poza domem.

**Tekst: Jolanta Bugajska**  
**Fot. z arch. G. Kupca**

**Grzegorz Kupiec** – pochodzi z Limanowej, tu ukończył I LO. W 1987 r. zaczął przygodę z telewizją. Pracował przy programie TVP Sonda, współpracował z Beyond i Fundacją Maszchaba. Od 1996 r. pracuje w telewizji TVN. Jest realizatorem m.in. programów: „Kuba Wojewódzki”, „Sędzia Anna Maria Wesołowska”, „Rozmowy w toku” z Ewą Drzyżgą, „W roli głównej” z Magdą Molek, „Ten jeden dzień” z Dorotą Wellman. Realizował także m.in.: „Najsłabsze ogniwo” z Kazimierą Szczuką, „Ananasy z mojej klasy” z Zygmuntem Chajzerem, „Droga do Gwiazd” ze Zbigniewem Wodeckim, „We dwoje” z Piotrem Szwedem, „Gorączkę złota” z Krzysztofem Ibiszem, „Wiktory 2007”, „Metalmanię”.



Kipiel rzeczna na jednym z progów Nilu Białego.

# Różne uroki Afryki w jednej

## NIL – RUWENZORI – SAFARI

cz. I Andrzej Kulig

Jak świat jest atrakcyjny, jak podróże mogą być ekscytujące okazuje się dopiero w momencie, gdy trzeba podjąć ostateczną decyzję w sprawie najbliższych planów urlopowych. Uświadamia to np. wydana w Polsce w 2008 roku książka pt. „1,000 Places to See Before You Die”<sup>1</sup>. Należy zgodzić się z reklamową opinią wydawnictwa Carta Blanca, że „wolny czas jest zbyt cenny, żeby podróżowanie pozostawić przypadkowi”. Niektórzy przed dokonaniem wyboru korzystają z różnego rodzaju poradników i albumów. Ja rezygnuję z wielu podpowiedzi dotyczących różnych cudów świata i atrakcji turystycznych, ponieważ uświadamiam sobie, że tęsknię ... za Afryką. Tęsknota ta narasta od czasu wędrowki w 2005 roku przez afrykańską dżunglę na zboczach Kilimandżaro<sup>2</sup> i dotyczy głównie wspaniałej przyrody (zainteresowanym wyprawą na Dach Afryki szczerze polecam książkę pt. „Każdy ma swoje Kilimandżaro”<sup>3</sup>).

Dlatego mój wybór dotyczy wspinaczki w jednym z najciekawszych pod względem przyrodniczym obszarów górskich Afryki. Wybieram się na wyprawę w Góry Księżycowe. Ale spokojnie. Góry Księżycowe to potoczna nazwa masywu Ruwenzori leżącego w Ugandzie w pobliżu równika. W sprawdzonym towarzystwie postanowiłem dołączyć do wyprawy AVANTURNICY 2008 - Uganda, której głównym celem jest trekking przez Ruwenzori z zamiarem dotarcia na najwyższy szczyt Margherita.

Jak pisze M. Leśniewski<sup>4</sup> „*minęły już czasy odkrywców, których jedynym zajęciem było zacieranie białych plam na mapie świata. W dobie niezwykle rozwiniętej techniki, wyprawy wysokogórskie służą nie tylko zdobywaniu szczytów. Są także sposobem intensywnego wypoczynku, okazją do przemyśleń oraz sposobem walki z własną słabością*”. Trekking w Górach Ruwenzori jest doskonały do takich planów.

Przygotowania do wyprawy (sprzęt, szczepienia itp.), jak zwykle, uzupełniam lekturą książek, przewodników<sup>5,6</sup>, map<sup>7</sup> i artykułu pod tytułem „Zaginiony Świat Ruwenzori” autorstwa ks. Krzysztofa Gardyny (<http://www.gory.wyd.pl/archiwum.php?art=2231>)<sup>8</sup>. Dodam jedynie, że przed wyjazdem wykonuję wszystkie zalecane szczepienia, a podczas wyprawy stosuję zabezpieczenia przed malarią (przeciw której nie ma jeszcze szczepionki), ponieważ jak podają statystyki Głównego Inspektora Sanitarnego, w Polsce tylko około 15% wyjeżdżających w rejon zagrożone chorobami tropikalnymi wykonuje zalecane szczepienia. Pojęcie „ekscytująca wyprawa” może więc też wynikać z egzotycznych zachowań.

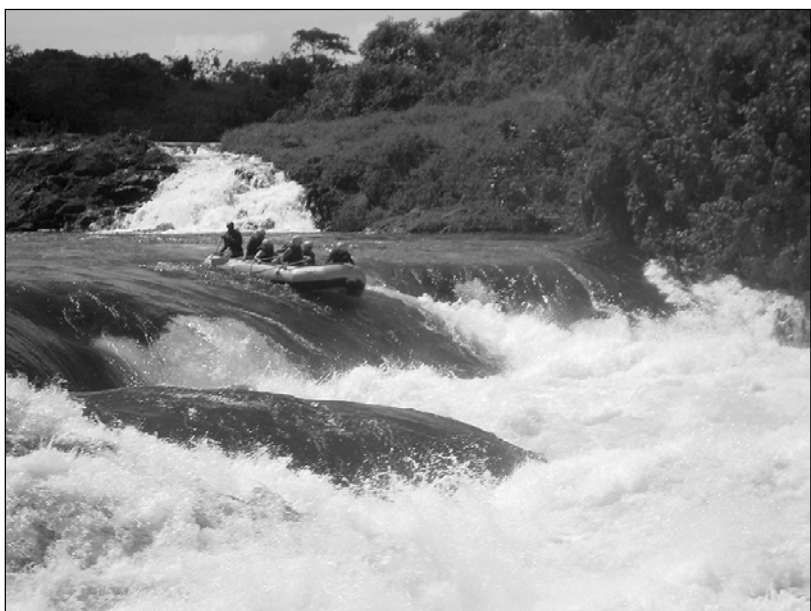
W piątek, 11 lipca 2008 roku, czterech członków wyprawy: Krzysiek – specjalista od Ugandy, a w zasadzie od całej Afryki, Leszek – specjalista od gór wysokich oraz Jurek i ja spotykamy się na lotnisku Okęcie. Pozostawiamy za sobą

## PODRÓŻE MAŁE, PODRÓŻE DUŻE

Góry Ruwenzori (lub Rwenzori) są położone w południowo-zachodniej Ugandzie. Ich najwyższy szczyt to Margherita (5109 m n.p.m.), trzecia pod względem wysokości góra Afryki, za Kilimandżaro i Mt Kenia. **Park Narodowy Gór Ruwenzori** został utworzony w 1991 roku na powierzchni 996 km<sup>2</sup>, a w 1994 r. został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Flora Parku Narodowego Ruwenzori Mountains jest bardzo bogata. Masyw górski Ruwenzori, wokół którego rozciąga się park narodowy z sawannami, lasami tropikalnymi i terenami bagiennymi, należy do nielicznych miejsc w Afryce pokrytych w najwyższych partiach lodem i śniegiem. Klimat i roślinność, a co za tym idzie i krajobraz, zmieniają się wraz z wysokością. W dolinach rozciągają się rozległe tereny bagienne, a wysokie rośliny, np. papirusy, stanowią naturalną ochronę dla żyjących tu słoni afrykańskich. Powyżej 1500 metrów rosną wysokopienne lasy. Na wysokości 2500 metrów zaczynają się gęste zarośla bambusowe – naturalne środowisko lamparta, ponad nimi znajdują się partie tropikalnych lasów spowite często mgłą. To właśnie obszar występowania olbrzymich roślin. Na niezwykłą wielkość roślin wpływa kilka czynników: podłoże szczególnie bogate w minerały, wysoka wilgotność powietrza, stała temperatura i wysoki poziom promieniowania ultrafioletowego. Na terenie parku występują: słonie afrykańskie, nosorożce, bawoły afrykańskie, antylopy, koczkodany rude, lemury i gazele.



Dla pozostania w pontonie bardzo ważne jest jego ustawienie przed falą na kolejnym dużym progu.



Czterometrowy zjazd wprost w kipiel wodospadu.



Przenoszenie pontonu ponad najtrudniejszym progiem Itanda - The Bad Place. ▶

# wyprawie

sprawy dnia codziennego i odrywamy się, jak mówi Leszek, od „bieżączki”. Nareszcie sprawy ważne dominują nad pilnymi. Lecimy z Warszawy do Brukseli, a następnie do Afryki Wschodniej. Po ośmiu godzinach lądujemy w Entebbe koło Kampali. Wieczorem, pokonując około 40 kilometrów, głównie przez przedmieścia stolicy Ugandy, w których na ulicach dominuje widok biedy, docieramy do hotelu „Africana” w centrum miasta. Rozpoczyna się fascynująca afrykańska przygoda.

## RAFTING NA NILU BIAŁYM

Wyprawa została zorganizowana z uwagi na góry oraz rośliny i zwierzęta Afryki Wschodniej. Jednak pierwszy dzień pobytu na Czarnym Łądzie, z powodu konieczności oczekiwania na pozostałych uczestników wyprawy, był przeznaczony na zwiedzanie Kampali i aklimatyzację. Pobyt w mieście ograniczamy jednak do niezbędnego minimum. Postanowiliśmy zmierzyć się z przygodą na raftingu. Jesteśmy przecież nad brzegiem największego jeziora Afryki – Jeziora Wiktorii, z którego wypływa Nil Biały i którego wody zasilają rzekę o długości ponad 6500 km. Progi i bystrza Nilu Białego są oceniane jako doskonale do organizowania spływów pontonowych.

Dzięki pomocy Krzysztofa, w sobotę, wcześniej rano ruszamy do miasta Jinja, w okolicach którego rozpoczyna się „nasz” nieplanowany wcześniej rafting na wodospadach Bujagali. Po stosownym przygotowaniu pozostajemy

► tylko w stroju, w którym możemy znaleźć się w rzecze, dodatkowo zakładamy kapoki – kamizelki ratunkowe i kaski ochronne. Ubrania i rzeczy osobiste zostawiamy w autobusach, które powinny czekać na nas na końcu trasy spływu. Można powiedzieć, że „impreza” ma charakter masowy – z bazy wypływa trzynaście pontonów, każdy z ośmioma wiosłarzami i sternikiem – razem około 120 osób! Po wypłynięciu na spokojny odcinek rzeki przechodzimy krótki trening – ćwiczenie komend, wiosłowania i powrotu do wywróconego pontonu oraz przyswojenie podstawowej zasady „*don't panic*”. Wszystko to wskazuje, że na około 30 kilometrowym odcinku rzeki czeka nas trochę wrażeń.

Nie znam oficjalnej klasyfikacji stopni trudności progów, ani nawet ich liczby. Dopiero po spływie dowiaduję się, że na około 10 głównych progów, cztery sklasyfikowane są jako najtrudniejsze (dla amatorów) „piątki”. Początek spływu uszedł nam „na sucho” – przepłynęliśmy Total Gunga i mimo że pojawiły się już przewrócone pontony, to uważaliśmy, że naszej załodze idzie dobrze. Ale do czasu. Na legendarnym progu Big Brother nasz ponton poszybował w powietrze, a cała załoga wyładowała w spienionym nurcie Nilu. „Pozbieranie” rozbitków i wiosł przez asekurujących spływ kajakarzy zajęło kilkanaście minut. Trochę ochłonąć z wrażeń mogliśmy dopiero, gdy w połowie trasy dopłynęliśmy do wyspy Wakisi, na której firma Adrift przygotowała lunch. Po odpoczynku, wszystkie 13 pontonów wyruszyło w dół rzeki. Nikt nie zrezygnował.

Następnie dość długi odcinek rzeki pokonujemy płynąc przez spokojne wody Nilu. W strefie wolnego dryfu można obserwować ptactwo wodne, pływać w rzecze. Można też się opalać, ale na szczęście trochę

się zachmurzyło i słońce nie dokonało przykrych w skutkach oparzeń. Zmagań na kolejnych kataraktach, w tym na „piątce” Overtime, nie potrafię dokładnie opisać. Po naprowadzeniu pontonu na próg katarakty, o wysokości nawet ponad 4,5 m, pozostaje nam tylko, na komendę, schować się na dnie pontonu. Ale nie na kolanach, bo można je skutecznie rozbić o kamieniste dno rzeki. Bardziej odporne na uderzenia są w tym przypadku stopy lub tzw. tylna część ciała. Pozostając na dnie pontonu, ściskając mocno wiosło i trzymając się liny asekuracyjnej liczyliśmy, że kolejny raz ponton utrzyma nas na powierzchni wody. Ostatni próg Itanda został pokonany częściowo drogą lądową, a pontony zostały przeprowadzone przez sterników, ponieważ progów kwalifikowanych jako „szóstka”, amatorzy nie powinni próbować przepływać. Niektórzy tym razem zrezygnowali z kontynuowania spływu. Inni zaś znowu znaleźli się w kipieli wodnej, a jeden z pontonów został zniszczony na podwodnych skalach. Po sześciu godzinach dobiliśmy do brzegu. Po całodziennym raftingu, po wyjściu z pontonów, wspina się na wysoki brzeg, gdzie czekają autokary z suchym ubraniem oraz napojami. Warto podkreślić dobrą organizację spływu. Do hotelu „*Africana*” w Kampali docieramy około godziny 21.

Uczestnicy raftingu na Nilu zgodnie mówią o wyzwolonej adrenalinie. W swoim imieniu mogę stwierdzić: wystarczy. Znaleźli się i tacy, którzy gotowi byli jechać na najszynniejszy rafting w Afryce na rzecze Zambezi u stóp potężnego Wodospadu Wiktorii<sup>9</sup>. Dla mnie była to jednak dostatecznie ekscytująca przygoda. Skończyło się na rozbitej o Jurka kask wardze. Jurek zaś szczerze wyznał, że walcząc w wodnej kipieli o utrzymanie się na powierzchni wody, pomyślał: „*dobrze, że przed wy-*

*jazdem ustanowiłem w firmie pełnomocnictwa*”. Zrozumiałem także dlaczego Krzysiek odradzał nam tę nieplanowaną przygodę. Przyjechalibyśmy przecież na wędrownkę po górach, więc wszelkie urazy: czy to podczas walki z żywiołem, czy tylko na skutek oparzeń słonecznych, mogły być dla nas źródłem dodatkowych kłopotów.

Ruwenzori Trekking Expedition to propozycja zdobycia Małgorzaty, najwyższego szczytu położonych na równiku Gór Ruwenzori, zwanych nie bez powodu Górami Księżycowymi. W niedzielę rano, podczas hotelowego śniadania, spotykamy pozostałych uczestników wyprawy: Przemka, Tomka, Maana i Kingę. Dolecieli z różnych stron świata. Zaraz potem wyruszamy na całodzienny przejazd do miejscowości Kasese, położonej u stóp gór Ruwenzori. Po drodze zapoznajemy się z Ugandą: jej mieszkańcami, krajobrazami, przyrodą. Podczas długiej podróży, atrakcją jest też nasz kierowca i przewodnik – Amos, który autentycznie interesuje się przyrodą, stara się wypatrywać zwierzęta i „szkoli” nas opowiadając o ich zwyczajach – jest fantastyczny. Wieczorem kolacja i nocleg w hotelu turystycznym.

**Andrzej KULIG**

**Fotografie ze zbioru  
Krzysztofa Cichowskiego  
Szczawnica, wrzesień 2008 r.  
Część II - Ruwenzori trekking  
w następnym numerze.**

<sup>1</sup> Schultz P.: *1,000 Places to See Before You Die: A Traveler's Life List*. Workman Publishing 2008.

<sup>2</sup> Kulig A.: „*Życie wędrownką jest. Rozważania w drodze przez masyw Kilimandżaro*”. „EL” Nr 136-137 i 138.

<sup>3</sup> Wach M.: „*Każdy ma swoje Kilimandżaro*”. Wydawnictwo Znak, Kraków 2008.

<sup>4</sup> Leśniewski M.: *Finansista na Koronie Ziemi*. Miesięcznik PW Nr 3, s. 14-16. 2002.

<sup>5</sup> Fitzpatrick M., Fletcher M., Wenk D.: *Trekking in East Africa*. Lonely Planet Publications. Melbourne 2003.

<sup>6</sup> Burns C. M.: *Kilimanjaro & East Africa. A climbing and trekking guide*. Cordee Leicester 2006.

<sup>7</sup> International Travel Maps: Uganda 1:800000, Rwanda Burundi 1:300000. Vancouver.

<sup>8</sup> Gardyna K.: *Ruwenzori - „The Lost World”* *Arthur Conan Doyle'a*. Góry Nr 5 (120) Maj 2004.

<sup>9</sup> Libura H.: *Biała kipiela, Czarna Łąka*. Poznaj Świat Nr 12 (599), s. 80-85. 2006.

Niestety, nie udało się – po wywrotce na trudnym progu załoga stara się odwrócić ponton, by móc kontynuować spływ.





Wodospady Bujagali - nazwa wielkiego progu Total Gunga mówi wiele o jego potędze.

## RAFTING NA NILU BIAŁYM



Powyżej: Załoga pontonu przygotowana do spływu.

Poniżej: Załoga technicznego pontonu ratowniczego też ma odpowiedzialne zadania.



Walka załogi pontonu z żywiołem wodnym na progach Nilu Białego.  
Fot. ze zbiorów A. Kuliga.



fot. 1

W Galerii Sztuki w Limanowej fotografie prezentują:

**Robert Widziesz** (fot. 1),  
**Bogdan Skrzekut** (fot. 2),  
**Marek Dudek** (fot. 3),  
**Dariusz Ociepka** (fot. 4),  
**Marcin Manka** (fot. 5),  
**Bogusław Bubula** (fot. 6),  
**Halina Matras** (fot. 7 w artykule),  
**Paweł Zelek** (fot. 8 w artykule),  
**Kuba Toporkiewicz** (okładka).



fot. 2



fot. 3



fot. 6

# WYSTAWA

fot. 4





# A FOTOGRAFII - GALERIA 9

fol. 5



# ŻWIROWNIA

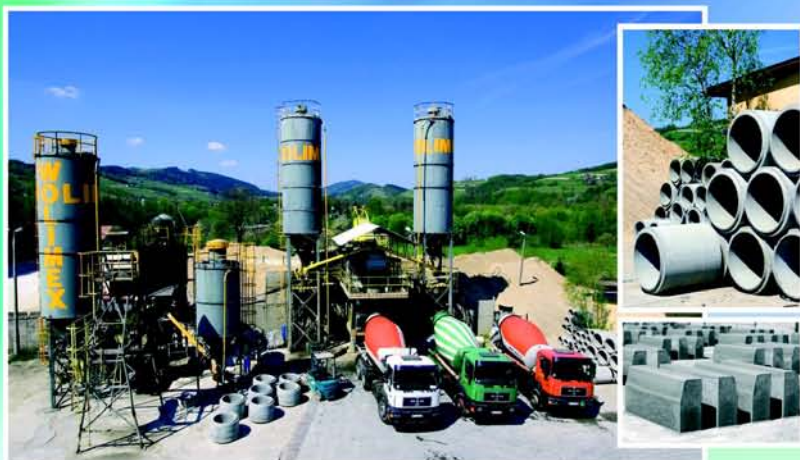
**ZAKŁAD USZLACHTNIANIA KRUSZYW NATURALNYCH** 32-840 Zakliczyn, Charzewice  
tel. 014 66 59 193, fax: 014 66 59 158

W nowoczesnym zakładzie uszlachtniania kruszyw naturalnych w Charzewicach k. Zakliczyna produkujemy kruszywa do betonu oraz do mieszanek mineralno-bitumicznych. Nasza oferta zawiera następujący asortyment:

- piasek płukany 0-2 mm, grys 2-4 mm, grys 4-8 mm, grys 8-12 mm  
grys 8-16, mieszanki mineralne 0-16 mm, pospółka 0-63 mm

# WYROBY BETONOWE

Zakład jest producentem prefabrykatów betonowych, służących do regulacji rzek i potoków, oraz do budowy kanalizacji i dróg. Zabezpieczamy produkcję dla potrzeb własnych oraz odbiorców zewnętrznych



Posiadamy komputerowo sterowany węzeł betoniarski do produkcji masy betonowej.

Produkowane prefabrykaty betonowe:

- rury i kręgi betonowe
- pokrywy betonowe
- korytka ściekowe
- płyty chodnikowe
- obrzeża trawnikowe
- płyty ażurowe, jomb (małe i duże)
- płyty i krawężniki drogowe

Oferujemy również masę betonową wraz z transportem i pompą do betonu Stetter.

**tel. 018 33 76 862**



# WOLIMEX

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWO-HANDLOWE

34-600 Limanowa, ul. Tarnowska 33, tel. (018) 33-76-100, fax (018) 33-76-159

<http://www.wolimex.com.pl>, e-mail: [biuro@wolimex.com.pl](mailto:biuro@wolimex.com.pl)







Autorzy fotografii „Galerii 9”. Stoją od lewej: Marek Dudek, Bogdan Skrzekut, Kuba Toporkiewicz, Robert Widzisz, Bogusław Bubula (z tyłu), Dariusz Ociepka, Paweł Zelek, Marcin Manka, Halina Matras.

**Sławek Łużny**

## Galeria 9 Zmysłów

**Gdzie w Limanowej szukać galerii sztuki i co tam zastać można - każdy wie, kto wiedzieć chce. Ale „Galeria 9” w Miejskiej Galerii Sztuki? A co to?**

Performance jakiś, że Galeria w Galerii? Wystawa kontrkulturowa ze sztuką alternatywną? Objazdowe stowarzyszenie dziewięciu artystów-kuglarzy, co do Limanowej zawitali z występem? Nic z tych rzeczy. Po krótkim śledztwie sprawa dość szybko się wyjaśnia. Otóż pod hasłem „Galeria 9” kryje się jedna limanowianka, ośmiu limanowian, ich wysmienite fotografie i wspólna zbiorowa wystawa w bibliotecznej Galerii Sztuki. Znać ich na pewno: jak nie wszystkich, to co najmniej część; jak nie poprzez fotografie to inną działalność – zawodową albo i pozazawodową. Część jest już uznanymi, cenionymi i nagradzanymi - w wymiarze nawet ogólnopolskim - sztukmistrzami fotografii artystycznej. Część to autentyczni pasjonaci, co na świat prawie że tylko przez obiektyw lustrzanki patrzą (bądź patrzeć by chcieli); co o sprzęcie, zdjęciach i z tym związanej robocie więcej niż o kobietach dyskutować mogą. Są i tacy, co robieniem zdjęć na chleb dorabiać potrafią, ale – by jasne było – jakości i artyzmowi ich prac nic to nie umniejsza. Wreszcie są też i tacy, co po prostu zdjęcia robić lubią, „umiają”, wychodzi im to i dobrze, że pokazują efekty do publicznego oglądu. Dziewięciu utrwalaczy, których szkielek, oko, a i pewnie czucie rejestruje fragment rzeczywistości w czymś, co na początku dość przerażająco camera obscura się zwało.



Fot. R. Zieliński

Zbigniew Sułkowski, pomysłodawca, koordynator, patron, dobry duch tej zbiorówki fotograficznej.

Dziewięć fotograficznych zmysłów, rozpisanych na dziewięć osób, prezentowanych w trzech komnatach wystawowych, po trzy zmysły w każdej z nich.

Pan Zbigniew Sułkowski (pomysłodawca, koordynator, patron i ciałem obecny dobry duch tej zbiorówki fotograficznej, co sam od używania aparatu nie stroni) w tekście, który przygotował do wystawowego folderu, tak to, mniej więcej, widzi: *Prezentowana galeria to wynik dziewięciu zwielowrotnionych spojrzeń na makro i mikrokosmos, poszukiwań sposobów* ►



fot. 7

*oddania na płaskim obrazie wielobarwnej złożoności odbitego lub – tylko i aż – odbicia siebie w drugiej żywej istocie.*

Bezsensem zatem pisać „co jest na zdjęciach”. Któż chciałby słuchać czyichś tyrad o jakiejś płycie, mając możliwość na własne uszy jej posmakować i zdanie sobie wyrobić? By znać i dobrze zrozumieć książkę, to lepiej przeczytać gdzieś coś o książce czy książkę przeczytać? Ano właśnie. Ogólnie jednak – jest na wystawowych zdjęciach uwiecznione dużo i różnie: dramat ludzki, majestat gór, portrety, pejzaże i zwierzęta, piękno krajobrazu i kobiecego ciała, radość w uśmiechu i oczach

dzieci zakłeta, noc czy światło na różne sposoby uchwycone i uwiecznione i inne, ciekawe motywy. Jakie?... Ja Ci nie powiem, bo mogę i nie widzieć, i nie wiedzieć. Dlatego przyjdź i zobacz sam. Odkryj je. W dziewięć zmysłów są zakłeta, ale łatwo je odczarować. Górnolotnie trochę do sprawy podchodząc i przeinaczając słowa poety, rzecz by można jeszcze: znasz prawdy żywe – obaczysz cud.

Przedstawmy zatem autorów tego zamieszania. Za Zbigniewem Sułkowskim, w kolejności niealfabetycznej, Galeria 9 to:

**Halina Matras** - również animatorka wystawy, rzadki przykład jednoczesnej wrażliwości i trzeźwości sądów. Nad Niagarą potrafi dostrzec nie tylko wodospad.

**Bogusław Bubula** - miłośnik wycieczek górskich, fotograf rozstajnych krajobrazów naszych gór.

**Dariusz Ociepka** - nauczyciel, od wielu lat fotografuje przyrodę. Tematy ulubione: krajobraz górski, makrofotografia.

**Bogdan Skrzekut** - chce umieć, wyczuwa światło nocy. Można by rzec Księżę Nocy, gdyby nie ujemna tego zwrotu konotacja.

**Marcin Manka** - z jego bocianów i Józef Chełmoński niejednego by się nauczył.

**Paweł Zelek** - profesjonalista, który wie, że dobrze sfotografowany melon jest twórczo wartościowszy niż kiepski akt. Dlatego to ostatnie opracowuje perfekcyjnie.

**Kuba Toporkiewicz** - „Warto popatrzeć i... przemyśleć” /Marek Dudek/. I nie dodam ani słowa.

**Marek Dudek** - alpinista i elbrusista, polatywał trochę w płochę młodości – ten bez-skrzydlaty koń, o którym pisał, to nie on. Stara dobra szkoła fotograficzna, z ery z kamienia łupanego zenitha jeszcze.

**Robert Widzisz** - niesamowicie dużo ze świata chciałby na zdjęciach pokazać i niesamowicie się mu to udaje. Siła tajemna albo co?

15 stycznia odbył się uroczysty, inauguracyjny wernisaż i Galerię 9, przy licznych udziale publiczności, formalnie otwarto. Można ją zwiedzać przez miesiąc w godzinach pracy biblioteki.



fot. 8

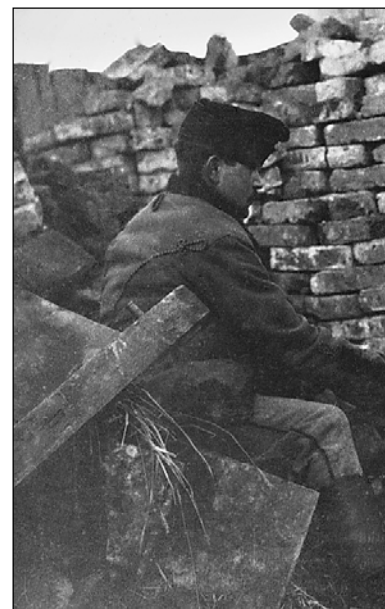


Tekst i fotografie z wernisazu: Sławek Łużny





W Budapeszcie.



Wartownicy huzarscy grzejący się

Podobno w latach pięćdziesiątych jakaś delegacja z Limanowej czy okolicy udała się na Węgry. Skierowano ją gdzieś na prowincję. Po oficjalnym zwiedzeniu jakiegoś kolektywnego gospodarstwa nastąpiło mniej oficjalne międzynarodowe przelewanie tokaju i palenki na zasadzie: „Polak Węgier” itd. A jacyś miejscowi dziadkowie koniecznie chcieli się dowiedzieć, z jakich dokładnie stron w Polsce przybyli ich goście.

Nasi pomyśleli logicznie i podali w przybliżeniu, że spod Krakowa.

Tamci pogadali coś chwilę ze sobą, a potem jeden z nich po niemiecku spytał

- A czy Kraków leży daleko od Limanowej?

Nawet jeśli to przekalkowana skądś anegdota, to dobrze osadzona w granicach prawdopodobieństwa - w tamtym czasie Polska w świadomości sześćdziesięcioparoletnich csikosów z puszy (a w przeszłości może i huzarów) mogła się kojarzyć przede wszystkim z Limanową. Tyle opowieść. Ale obecność Limanowej na Węgrzech potwierdzają też fakty.

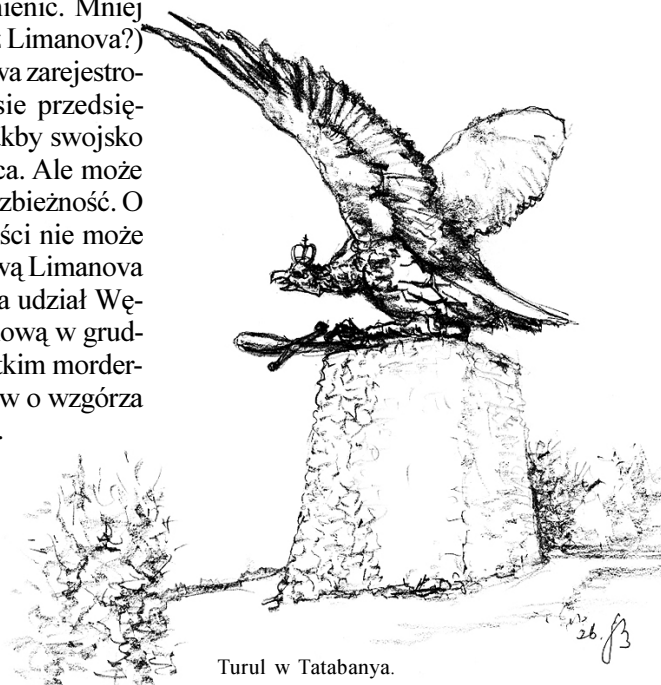
W różnych publikacjach wzmiankuje się, że Limanowa występuje w Budapeszcie (niektóre z przekazów mówią, że nawet więcej niż raz) w nazwie ulicy czy placu. Warto tę wieść zweryfikować i... jednak jest!

W dzielnicy XIV, w lewobrzeżnej części dwumilionowego miasta (zdjęcie) a określając bliżej - w trójkącie skrzyżowania dwóch ważnych arterii komunikacyjnych: Hungaria korut i (jeszcze ładniej zwanej) Kacsok Pongrac, Limanova Utca łączy esowato Nagy Lajos Ki-

raly i Rona Utca. To taka bardziej spokojna ulica domów w ogrodach i wolno stojących piętrowych kamienic. Mniej więcej w połowie plac (też Limanova?) przy nim firma komputerowa zarejestrowana w europejskim spisie przedsiębiorstw. A niedaleko też jakby swojsko brzmiąca Cinka Panna Utca. Ale może to tylko taka ortograficzna zbieżność. O żadnej za to przypadkowości nie może być mowy, gdy chodzi o ową Limanova Utca, bo nazwa upamiętnia udział Węgrów w bojach pod Limanową w grudniu 1914 r. - przede wszystkim mordercze walki 9. Pułku Huzarów o wzgórze bezpośrednio nad miastem.

Zbigniew Sułkowski

Dość okazała nekropolia wojenna na limanowskim Jabłońcu, z pustym już mauzoleum węgierskiego pułkownika Othmara Muhra pośmiertnie cesarskim dekretem nazwanego „Limanowskim” jest jednym z pomników całej „operacji limanowskiej”, w której zatrzymano wreszcie rosyjskie natarcie. Pierwszy i właściwie ostatni samodzielny sukces militarny Austro-Węgier. Austro-Węgier, ale czy Węgier?

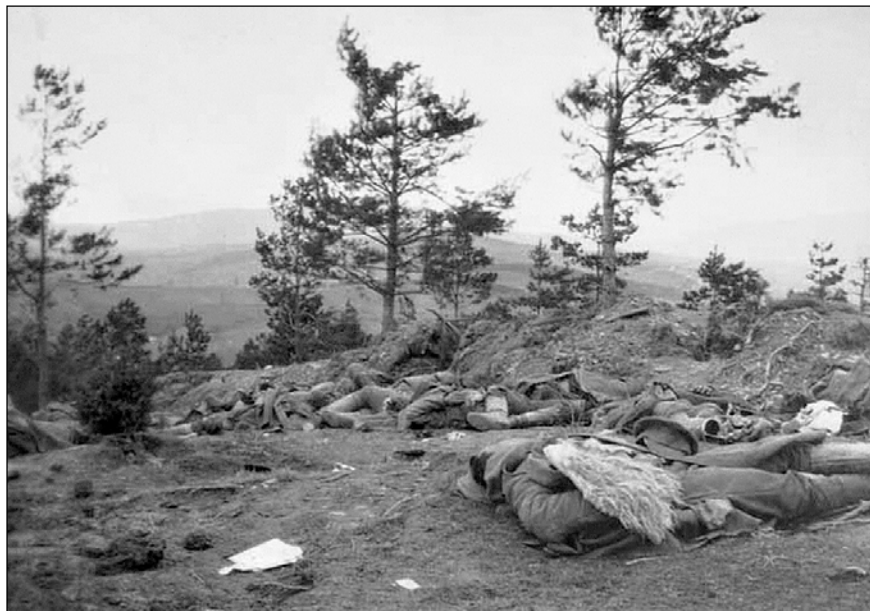


Turul w Tatabanya.

# JAK ORZEŁ Z TURULEM



przy ognisku - 1914 rok.



Cisza po szturmie - po bitwie na wzgórzu Jabłoniec.

Według ustnych z pokolenia na pokolenie przekazów owi naprawdę dzielni pod Limanową huzarzy mieli utyskiwać, że przyszło im bić się i ginąć tak daleko od kraju, czyli w nie swojej sprawie. Pasażuje to bardziej do późniejszej perspektywy widzenia spraw. Bo w 1914 roku z Limanowszczyzny do granic Królestwa Węgier było już blisko, zresztą granicę tę Moskale już nawet przekroczyli w rejonie Medzilaborców i Bardejova. Za to dwie trzecie terytorium utracono dopiero w wyniku rozpadu c.k. monarchii w 1918 r.

Była kiedyś – nie na długo – Polska od morza do morza i były wielkie Węgry, swym terytorium obejmujące również polski Śląsk. Było, minęło. Pozostawiając jak kac późniejszym generacjom traumę upadku i dziejów odmierzanych kolejnymi klęskami. To nasze narody wyraźnie łączy. Wiele o tym można przeczytać w wydanej w zeszłym roku przez Stasiukowe „CZARNE” książce Krzysztofa Vargi *Gulasz z turula*. Wywodzący się z mieszanego małżeństwa autor - jak sam mówi: Varga to Węgier, Krzysztof to Polak - przy sympatii dla całej kulinarnej i obyczajowej madziarskości bezwzględnie rozprawia się z jej mitami narodowymi, z niewątpliwą przesadą rysując wizerunek „typowego” Hungara, tragicznego we własnym rozumieniu, a dla świata już tylko śmiesznego. Dla porównania, walili też Polaków za co trzeba, nasi najwybitniejsi - Słowacki i Norwid - i to w czasach niewoli narodowej.

Pozostaje jeszcze „turul” ze zbioru esejów Vargi.

Turul – pisany często z dużej litery - to legendarny, potężny ptak drapieżny (nie orzeł), który z księżniczką Emese miał spłodzić protoplastę rodu Arpadów Almosa, a następnie doprowadzić Węgrów na nizinę naddunajską. Stał się symbolem rodu Arpadów, również po przyjęciu chrześcijaństwa. Do dziś na Węgrzech wszędzie spotkamy jego wizerunki w rzeźbach, reliefach czy malowidłach - w kształcie przypomina wielkiego orła, ale czasem też sokoła lub innego nieokreślonego drapieżnika (niektórzy złośliwie twierdzą, że był to ciągnący za hordą koczowników sęp). W obydwu łapach zwykle trzyma miecz, dlatego musi siedzieć w dziwnej dla ptaka pozie. Najokazalszy jest pomnik Turula nad miastem Tatabanya - rozpiętość skrzydeł 15 metrów - największa rzeźba ptaka w Europie.

Co ciekawe, nie ma Turula ani w oficjalnym herbie, ani na fladze państwa.

Nie ma też żadnego jego wyobrażenia na jabłonieckim cmentarzu wojennym nr 368 – ani w kaplicy-mauzoleum, ani na uwieńczonym banalną rozgniecioną kulą obelisku w miejscu śmierci płk. Muhra. Można to zrozumieć, projektant cmentarza Gustaw Ludwig nie był Węgrem, zresztą korzystać musiał przede wszystkim z typowych gotowych elementów i obrabianego na miejscu kamienia. Rzeźby czy odlewane figury umieszczano, jak np. w Nowym Sączu, tylko wtedy, gdy ktoś je ufundował.

Jest za to na obelisku Othmara Muhra inny węgierski ślad, patetyczne w formie epitafium ułożone przez Ferenza Molnara. On sam jako korespondent wojenny odwie-

dził Jabłoniec i inne podlimanowskie jeszcze nie uprzątnięte pola bitewne tuż po zakończeniu walk, czego obraz dał w „Notatniku korespondenta wojennego” i tu już nie ma miejsca na zbyteczny patos. Jest za to rewelacyjna („hemingwayowska” jak chcą niektórzy) i jako dokument czasu, i w formie językowego przekazu literatura faktu, a umiejętność wychwytywania najistotniejszego zarówno w drobiazgach, jak i w szerszej panoramie zdarzeń godna wielkiego pisarza jakim Molnar, u nas znany z autorstwa „Chłopców z Placu Broni”, zresztą był.

Dotyczący Limanowej obszerny fragment „Notatnika” opublikował Almanach Ziemi Limanowskiej (Nr 18/2004) a całość na język polski przełożył Akos Engel-mayer - postać nawet jak na warunki środkowoeuropejskie niezwykła. Urodzony w 1938 r. wywodzi się ze szlacheckiego rodu zmadziaryzowanych Niemców spiskich. Zaangażowany czynnie w budapeszteńską rewolucję 1956 r., żonę i wolność znalazł po okresie represji w Polsce, do której udało mu się przenieść na stałe. W Warszawie ukończył etnografię, podjął pracę jako tłumacz i naukowiec. W porównaniu z sytuacją na Węgrzech po 1956 r. Polska wydawała się oazą wolności. Do tego stopnia, że mówiono: jedyny Polak zadowolony z życia w gomułkowskiej Polsce, to ten Węgier Engel-mayer! Za to w latach 80. czynnie już działał w opozycji, a po transformacji był w Polsce w latach 1990–95 ambasadorem Republiki Węgierskiej. Jest też profesorem polskich uczelni. W 1994 i 2004 r. zaszczycał swą obecnością uroczystości rocznicowe bitwy limanowskiej.



Trębacz z Kazincbarcika w mundurze huzarskim gra wezwanie „Do boju”, które towarzyszyło wojskom węgierskim podczas walk w czasie I wojny światowej.



Groby żołnierskie po bitwie pod Limanową w 1914 roku. 11 listopada 1915 roku ks. Kazimierz Łazarski poświęcił ten cmentarz.

► Po co tak szeroko się o wszystkim rozprzestrzeniam?

Bo uważam, że jak Krzysztof Varga o Węgrach, Akos Engelmayr byłby w stanie napisać podobną książkę o Polakach. Czy jest „Węgropolakiem”? Nie – odpowiada - czuję się Węgrem bardzo silnie związanym z Polską. Do tego stopnia związanym, że potrafi ważyć nie tylko nasze wspaniałości i pozytywy, ale i to, co w nas bardziej paskudne czy żalodne.

Doświadczył tego i na sobie, gdy w 1968 r. brano go za semitę; żeby było bardziej swojsko, powtórzyło się to, gdy został ambasadorem. A ja powtarzam, że dobrze by było, żeby książkę o nas, jakiś „Bigos z...” napisał. Póki co, to nie najgorzej wypadają opinie o nas, gdy nie pisano ich „na klęczkach”.

A w opinii o sobie Engelmayr pisze, że chciałby być pochowany w Niedzicy (zamkowemu muzeum ofiarował zbiór hungaryków), bo jest tu jedyny zamek poza granicami Węgier, którego węgierskości nikt nigdy nie kwestionował. Nikt rozsądny nie myśli dziś o rewizji granic, ale też nikt rozumny nie zaprzeczy, że Kamieniec Podolski jest polskim zamkiem.

Są różne, dla różnych nacji ważne, a nawet własne, miejsca w świecie. Istotne jest, by każdy kto zechce mógł bez kłopotów do nich dotrzeć. Na spotkaniu autorskim w Limanowej Andrzej Stasiuk mówił, że lubi ze swego Wołowca przejechać tak po prostu leśną drogą na Słowację, a czasem podobnym traktem również na Węgry. Coś podobnego zdarzyło się i mi w ubiegłym roku i pamiętając minione, bardzo sobie cenię otwarcie granic.

I lepiej by było, żeby ich nikt na nowo nie pozamykał.



W latach 1915-18 zbudowano na Jabłońcu cmentarz wg. projektu Gustawa Ludwiga.



W czasie uroczystości obchodów 90. rocznicy bitwy pod Limanową na wzgórzu Jabłońiec przedstawiciele Republiki Węgier składają wiązanki kwiatów w kaplicy mauzoleum Othmara Muhra. Pierwszy z prawej były ambasador Węgier Ekosz Engelmayr.

## Dziesięciolecie powiatu



Z okazji jubileuszu 10-lecia odrodzenia powiatów w Polsce, Rada Powiatu Limanowskiego ustanowiła sztandar upamiętniający to wydarzenie.

w koronie – godło herbu Rzeczypospolitej Polskiej. Wokół Orła widnieją słowa zaczerpnięte z Encykliki Jana Pawła II „Redemptor hominis”, które brzmią: „Troska o dobro wspólne podstawowym obowiązkiem władzy”.

Rada Powiatu Limanowskiego chce w ten sposób wyrazić nadrzędną ideę – motto, którym powinni się kierować wszyscy pełniący służbę publiczną. Szarfa z kokardą umieszczona w górnej części sztandaru w barwach województwa małopolskiego,

a zarazem w barwach powiatu, ma wskazywać na związek tych dwóch wspólnot terytorialnych.

Obchody jubileuszowe odbyły się 19 stycznia i rozpoczęły się mszą św. w bazylice MBB w Limanowej, gdzie dokonano poświęcenia sztandaru.

W limanowskim Domu Kultury podczas uroczystej sesji zaprezentowano dziesięcioletni dorobek nowo powołanego powiatu limanowskiego, wręczono odznaczenia. Prof. dr hab. Krzysztof Surówka

– dziekan Wydziału Finansów Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie – wygłosił wykład „Problemy samodzielności finansowej powiatów w Polsce”. Po okolicznościowych wystąpieniach jubileusz zakończyła część artystyczna.

**Stanisław Król,  
Stanisław Ociepka**

**Opracowano na podstawie:**  
*„Limanowa. Dzieje miasta” tom I i II*

(dokończenie ze strony 13)

## Jak w staropolskim „silva rerum”

Zainspirowała nas publikacja „Tam, gdzie śpi olbrzym”, a w realizacji dzieła bardzo pomogła dyrektor Halina Matras, która przekonała władze miejskie do sponsorowania tego przedsięwzięcia.

Wydawnictwo jest zbiorową prezentacją utworów członków Klubu. Jedynym kryterium był poziom tekstu, dlatego też w publikacji znalazły się różnorodne utwory: poezja, wbrew tytułowi – formy prozatorskie, wspomnienia i teksty o charakterze dziennikarskim. W pierwotnym zamyśle tematyka miała wiązać się z Limanową, oka-

zało się jednak, że z tej sugestii skorzystało niewielu twórców staropolskiego „silva rerum” (dosł. las rzeczy) forma dała możliwość publikacji tekstów różnorodnych nie tylko tematycznie ale też pod względem stylu czy wykorzystanej techniki. Ta różnorodność pozwala mieć nadzieję, że utwory zadowolą czytelników o różnych upodobaniach. Wydawnictwo zostało wzbogacone elementami plastycznymi – projekt okładki i ilustracji wykonywała Joanna Tokarczyk, artysta grafik, która prezentowała już swój dorobek podczas wystawy w Miejskiej Bibliotece.

Założyciele Limanowskiego Klubu Literackiego zapraszają na swe spotkania osoby, w których drzemie potrzeba pisania, posiadające „iskrę Bożą”, tworzące często w zaciszu domowym. Planują w przyszłości dalszą działalność wydawniczą, spotkania warsztatowe dla twórców, wieczory autorskie z wybitnymi pisarzami i publicystami. Niech sukces wydawnictwa „Wszystko, co nie jest prozą” doda im skrzydeł w realizacji dalszych przedsięwzięć.

**Hona Machowicz-Jurowicz**

# CO ZOSTAŁO Z TAMTYCH LAT

Inspiracją do wspomnień z czasów II wojny światowej, jakie zachowały się w mojej pamięci, stała się wystawa starej fotografii „Limanowa w czasach II Rzeczypospolitej”.

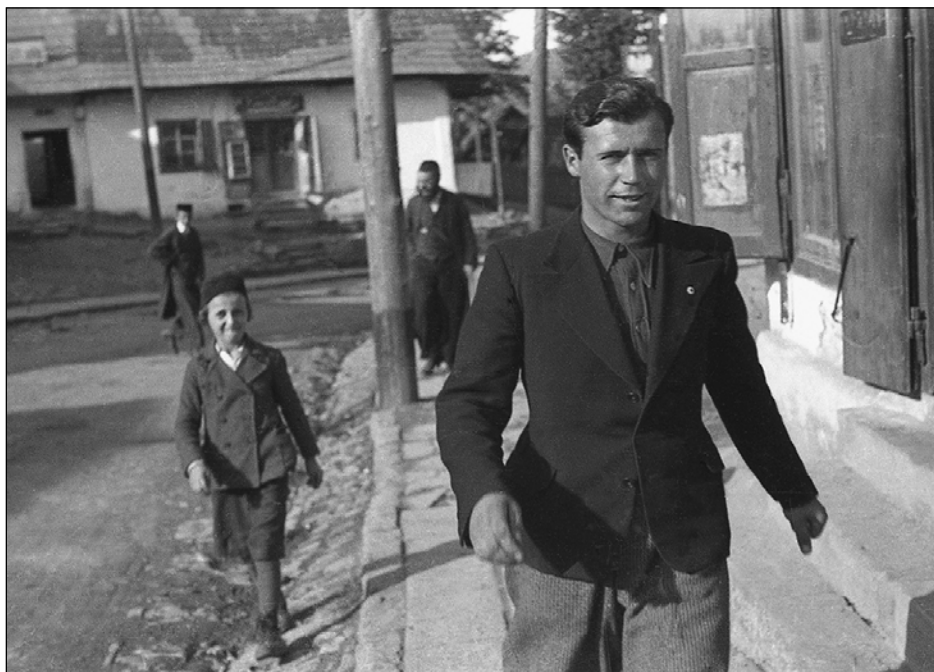
Zatrzymane w kadrze obrazy na zdjęciach ukazują miejsca zdarzeń, jakie zaistniały w minionym czasie, nie są natomiast w stanie do nas przemówić żywym słowem. Tak więc pragnę po części uzupełnić historię naszego miasta opisując niektóre zdarzenia z okresu ostatnich lat trzydziestych i czasu II wojny światowej.

Czas okupacji hitlerowskiej, to okres tragiczny nie tylko dla Polaków, ale również tragiczny dla mieszkańców wyznania mojżeszowego, zamieszkujących nasze miasto. Żydzi w Limanowej stanowili do roku 1939 znaczną grupę ludności. Jak podaje rocznik diecezji tarnowskiej z 1939 roku, w Limanowej było 1135 katolików, 7 grekokatolików i 1134 mieszkańców wyznania mojżeszowego. Wprawdzie podana ilość Żydów dotyczyła całej parafii limanowskiej, ale na wioskach należących do parafii żyło zaledwie kilka żydowskich rodzin. Tak więc proporcje katolików i Żydów były prawie równe.

Limanowscy Żydzi przeważnie mieszkali w zwartych osiedlach. Duże skupisko ich domów było przy dawnej ulicy Krakowskiej, do zakrętu przy ulicy Szwedzkiej, tzw. „Piekło” i cały obszar w kierunku Potoku Starowiejskiego. Nazwa „Piekło”, dziś prawie nie znana, powstała jak głosi opowiadanie dlatego, że podczas potopu szwedzkiego w tym miejscu, doszło do walk pomiędzy wojskiem szwedzkim, a tutejszą ludnością. Z opowieścią tą nie zgadza się Adam Wojs. Twierdzi on, że do takiej bitwy ze stu osobowym oddziałem wojsk szwedzkich a ludnością doszło, ale nie w tym miejscu, tylko na terenie Mordaki. Zaś sama nazwa „Piekło” wzięła się z innego powodu. W XVI

wieku, w czasie reformacji, kiedy szerzył się na naszych terenach, a zwłaszcza po dworach arianizm, w Limanowej w tym miejscu mieszkał wybitny pastor protestancki. Wiadomo, katolicy życzyli mu: *niech go piekło pochłonie*. Stąd ta nazwa. Czy tak było, czy inaczej, faktem jest, że Limanowa tak jak Nowy Sącz miała swoje piekło. Dziś mamy obok tego miejsca ulicę Szwedzką i nie istniejące już „Piekło”. Faktem jest jednak, że coś tam musiało się wydarzyć. Parę lat przed II wojną światową, podczas robót ziemnych, w tym miejscu odkryto dużą ilość szkieletów ludzkich. Kim byli ci ludzie i dlaczego tam zostali pochowani, pozostaje tajemnicą. Nazwą „Piekło”, posługiwał się również mój ojciec. Pamiętam dobrze, jak mówił: *Idę kupić skóry do Żyda na Piekło*. Sklep ze skórami był przy ulicy Krakowskiej, na zakręcie. Właścicielem jego był Żyd o nazwisku Goldberg. Ten żydowski budynek, gdzie był skórzany sklep nie zachował się do dnia dzisiejszego, jest tam pusty plac ogrodzony płotem. Natomiast istnieje piętrowy budynek przy ulicy Szwedzkiej, gdzie mieszkał naczelny rabin limanowskich Żydów.

Społeczność żydowska mieszkająca w tym rejonie, miała dwie drewniane bóżnice przypominające swoim wyglądem budynek „Sokoła”. Jedna była na zapleczu obecnego budynku PZU, a druga mniej więcej w tym miejscu, gdzie obecnie jest budynek GOPR przy ulicy Mordarskiego. Obie te bóżnice Niemcy zniszczyli późną jesienią 1939 roku, wrzucając do środka ręczne granaty. W tym rejonie znajdowała się również duża, murowana, rytualna łaźnia. Budynek ten zachował się do dnia dzisiejszego. Po wojnie przerabiany kilkakrotnie służył dzisiaj innym celom. Na skwerku koło obecnej poczty mieściła się koszerna rzeźnia drobiu. Oddzielnej piekarni żydowskiej w Limanowej nie było. Ciasto praśne (mace) po przygotowaniu przez Żydów w domach wypiekane było w piekarni u Wojsa.



Ulica Krakowska w rejonie tzw. „Piekła” - fotografie z lat trzydziestych XX wieku.



Drugie skupisko Żydów, znacznie większe, znajdowało się w północnej stronie naszego miasta. Rozciągało się ono zaraz po wyjściu z naroża rynku, od kamienicy Biela (budynek istnieje do dziś), w kierunku szkoły aż do potoku Mordarka. Był to tak zwany „Kamieniec”. Szczególnie gęsto był zabudowany teren w pobliżu rynku i dalej rozciągał się po obu stronach uliczki, aż do rzeki. W pobliżu rzeki były drewniane stodoły. Należały one do właścicieli mających pola poza miastem.

Wśród tego zwartej skupiska żydowskich drewnianych domów, wyróżniała się murowana piętrowa synagoga. Społeczeństwo żydowskie miało też własną szkołę cheder, do której uczęszczała przeważnie młodzież husytów. Cheder znajdował się przy ulicy Sąddeckiej (dziś Kościuszki), niedaleko kapliczki. Po jego wyburzeniu, na tym miejscu Spółdzielnia Wielobranżowa wybudowała budynek, w którym mieścił się zakład krawiecki.

Pomimo że Żydzi mieli własną szkołę, większa część żydowskich dzieci, chodziła do polskiej szkoły. Nie brała jednak udziału w lekcji religii.

Biedni Żydzi najczęściej zajmowali się drobnym handlem i rzemiosłem. Bogatsi mieli swoje sklepy i szynki w rynku i przy głównych ulicach. Trudnili się też lichwą, tj. pożyczaniem pieniędzy na wysoki procent. Pojedyncze rodziny żydowskie mieszały też w różnych częściach naszego miasta.

Bliżej rzeki, na „Kamieńcu” była duża garbarnia. Właścicielem jej był bogaty Żyd o nazwisku Kolender. Wraz z bratem, wyrabiali oni wysokiej jakości skóry w różnych kolorach, tzw. szewrowe, na eleganckie obuwie, juchtowe, na obuwie robocze z cholewami, bardzo dobre wołowe skóry na podeszwy i zelówki pod buty oraz skóry surowe na uprząż dla koni, pasy i baty.

Niedaleko garbarni, na przeciwko muru stolarza Pałki były betonowe baseny z wapnem i moczonymi skórami przeznaczonymi do dalszej obróbki. Baseny te nie zabezpieczone wydzierały przykrą woń.

*(ciąg dalszy na stronie 45)*

Obok: widok z wieży kościelnej w kierunku „Kamieńca” - lata okupacji.



# Motoryzacja w Limanowej - na starych

Znalazło się jeszcze parę zdjęć o tej tematyce z lat tuż powojennych, może warto i im jeszcze odrobinę uwagi poświęcić?

Fot.1 przedstawia na limanowskim rynku wymianę koła starej ciężarówki - to najprawdopodobniej Henschel z końca lat dwudziestych. Ale ta landara ciekawa jest dziś z innego powodu - widać, że w czasie wojny przystosowano ją do napędu na gaz drzewny.

W związku z ogromnym zapotrzebowaniem wojska na benzynę i braku dostępu Niemiec do wystarczających złóż ropy zaczęto przerabiać „na holzgas” pojazdy cywilne, a także wojskowe na zapleczu frontu. Całe urządzenie gazogeneratora było duże i skomplikowane, a uzyskiwane paliwo o wartości kilkakrotnie mniejszej od gazu ziemnego; za to było tanie i powszechnie dostępne – stanowi-



Fot. 1



Fot. 3

ły je kilkucentymetrowe kostki twardego drewna. Piece destylacyjne montowano kosztem powierzchni ładunkowej ciężarówek - widać to na zdjęciu, także elementy instalacji gazowej przy silniku i skrzynkę na „opał” na dachu szoferki.

Ale „na holzgas” w wielkoniemieckiej Europie chodziły nie tylko skrzyniowce, także traktory, autobusy i auta osobowe. Ja jeszcze takie pojazdy (rzadko) w latach 50. widziałem i zawsze to jakaś

pociecha, że człowiek potrafi jeździć na byle czym.

Jednak po 1945 r. po polskich drogach przemieszczało się nie tylko to, co jakoś wojnę przetrwało lub było jej poniemiecką pozostałością. W ramach pomocy UNRRA pojawiło się sporo - z demobilu lub całkiem nowych – nowoczesnych samochodów wojskowych, przede wszystkim amerykańskich, ale także angielskich czy kanadyjskich.

Na fot. 2, 3 i 4 widać samochody sanitarne, jakie otrzymał powstały w 1945 r. w Sowlinach limanowski szpital. Fot. 2 i 4 prezentuje najpopularniejszą w czasie wojny i później (znaną też z serialu „MASH”) amerykańską karetkę terenową Dodge WC 54. Na zdjęciu 3 podstawowa wersja tego wozu (WC 51) z sanitarnym, nieco innym nadwoziem. A „dodżki” wyprodukowane w kilku wersjach w liczbie kilkuset tysięcy były na



Fot. 5



Fot. 2

długie lata podstawowymi terenówkami wojskowymi nie tylko USArmy.

W tamtych czasach i warunkach to nie szoferzy mało licznych aut osobowych zyskiwali mir i rozgłos. Na fot. 2 widać sławnego w Limanowej kierowcę, ś.p. Stanisława Dutkę, znanego w całym powiecie z brawurowego sposobu jazdy. Można by takich wymienić jeszcze kilku, ale... lepiej nie. Na kiepskiej fot. 4 znak czasu - udekorowana karet-



Fot. 4

ka ma na dachu figurę bociana, w takim wystroju we wczesnych latach 50. samochody sanitarne występowały na pochodach pierwszomajowych – chyba miało to zachęcać kobiety do korzystania z uspołecznionych izb porodowych. Przy pomocy innego umajonego pojazdu na fot. 5 (też jest to Dodge, ale kanadyjski T 110 z charakterystyczną obrotnicą dla karabinu maszynowego na dachu szoferki) władza ludowa tłumaczy ludowi, co to jest las.

Żeby przypadkiem ktoś nie pomyślał, że w owych latach wszelka przybywająca do Polski motoryzacja pochodziła wyłącznie z Zachodu mamy i fot. 6 wykonane przy okazji wycieczki limanowskiego Gimnazjum do Rożnowa w roku 1948. Ojciec zabrał mnie dziecięciem na tę wyprawę i pamiętam przez mgłę rejs motorówką po jeziorze (podobno tydzień później poszła na dno i były ofiary) oraz powrót z przesiadką z auta na auto, bo właśnie...

Na zdjęciu jest sowiecki ZIS 5 (z niepasującą kabiną od jakiejś amerykańskiej ciężarówki) użyczony szkole na wycieczkę przez limanowską komendę milicji.

No cóż, sięgnijmy do literackiego dokumentu tamtych lat.

Kiedy pracowałem jako kierowca, mieliśmy cztery zasadnicze typy samochodów: General Motor Corporation, Diamond, Studebaker i ZIS (Zawod imienia Stalina). Arystokracja jeździła Diamondami, jednak ulubionym samochodem kierowców był GMC zwany przez nas „dżemsem”. Dżems był wspaniały...

Kiedy któryś z kierowców nawałał... sekretarz partii wzywał go do siebie, mówiąc: *Chcecie, żebym was zdjął z dżemsa? Chcecie, żebym was przesadził na tego zas...go ZIS-a, tak? Chcecie jeździć na tym zas... ZIS-ie, żeby się z was koledzy śmiali, nie? To po to towarzysz Stalin zmienia przyrodę... żebyście wy musieli jeździć takim pie... wozem, co nie ma starteru i gdzie wyskakują biegi? Poprawcie się... I człowiek poprawiał się, jak tylko umiał.*

**Marek Hłasko**  
„Piękni dwudziestolenni” ▶

► Oczywiście trzyosiowe GMC CCKW 353 były i u nas, ale na zdjęcie żadnego limanowskiego nie natrafiłem. Dlatego dołączam na fot. 7 model „dzemsa”, jaki zrobiłem w wersji do przewożenia drzewa z kultowej powieści Hłaski „Następny do raj”, do roku 1990 do zdobycia tylko w wydawnictwach podziemnych. Natomiast po roku 1956 na fali „popaździernikowej odnowy” zrobiono na podstawie powieści z udziałem i Hłaski, i „dzemsów” świetny aktorsko film „Baza ludzi umarłych”, ale cenzura sprostytuowała zakończenie. Hłasko się wściekł i nawet nie pozwolił zamieścić swojego nazwiska.

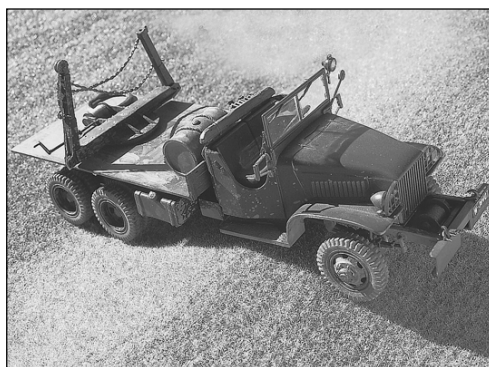
A na fot. 8 jest wymieniony też wyżej amerykański Studebaker US6 - z pługiem śnieżnym gdzieś w okolicach Limanowej.

Na fot. 4 stoi obok karetki samochód osobowy – jest to Warszawa M20 od 1951 r. produkowana w Polsce jako licencja sowieckiej Pobiedy (będącej z kolei odwzorowaniem amerykańskiego Forda). W tym samym roku ruszyła też licencyjna produkcja sowieckiej 2,5 – tonowej ciężarówki Lublin 51 z drewnianą szoferką, samochodu przestarzałej konstrukcji, nieekonomicznego i w kraju niepotrzebnego, bo od 1948 r. produkowano już polską 3,5 – tonową ciężarówkę Star 20.

Ten ostatni typ był właściwie wdrożeniem do produkcji przedwojennego prototypu PZInż 713 i opracowany został przez ten sam zespół konstrukcyjny. Były też inne prototypowe konstrukcje. Ale tak



Fot. 6



Fot. 7



Fot. 8



Fot. 9

ponad naszymi głowami ustalono, że w PRL w odróżnieniu od Czechosłowacji czy NRD będzie się przede wszystkim realizować pomysły motoryzacyjne (i lotnicze) ZSRR. Dość udane Stary 20 i ich kolejne wersje rozwojowe, oraz w późniejszych latach nieudane osobowe FSO Syrena były na dziesięciolecia wyjątkiem od tej zasady. A od 1952 r. ruszyła w Sanoku produkcja Stara 20 w wersji strażackiej i limanowska OSP szybko taki wóz otrzymała (wcześniej dysponowała angielską ciężarówką Fordson WOT 2). I na fot. 9 jest ów pożarniczy Star 20 w wersji GM8 lub GA16.

Znamienne, że owe najstarsze polskie powojenne samochody zachowały się w stanie bardziej autentycznym właśnie w strażach pożarnych, w tym na szczęście również te w wersji ciężarowej. Inaczej znane byłyby tylko z obrazków, bo taki miewamy szacunek do zabytków polskiej techniki. I taki właśnie Star 20 GM8 stoi od paru lat za eksponat przy stacji paliw na Podłopieniu. Jest raczej kompletny i czeka aż go może jacyś fani starej techniki doprowadzą do porządku (jest już w Polsce trochę jeżdżących strażackich oldtimerów, ale Stara 20 wśród nich nie ma) lub inni „fani” rozdrapią na czynniki pierwsze.

Tyle byłoby o samochodach mojego dzieciństwa - ciężarowych właśnie, bo osobowe jeśli się nawet z rzadka pojawiały, to jako dychwicze starocie. Fascynowały owe licznych rodzajów wozy terenowe, które armię amerykańską wiozły do zwycięstwa, a potem długie lata harowały w cywilu jak woły – zresztą w krajach całego świata - zadziwiając swą wytrzymałością i żywotnością.

# CO ZOSTAŁO Z TAMTYCH

Pośród całego tego skupiska żydowskiego, żyło też kilka rodzin katolickich. Na samym „Kamieńcu” był jeden katolicki sklep mieszany. Do pana Wieczorka chodziliśmy kupować cukierki kawowe. Pan Wieczorek nabierał garść cukierków, wysypywał do papierowej tulejki i dokładał nam dodatkowo jeszcze jednego.

Stosunki jakie układały się pomiędzy sąsiadami były raczej poprawne, chociaż konkurencja żydowska zwłaszcza w handlu dawała się poważnie katolikom we znaki.

Tak żyli limanowscy Żydzi aż do września 1939 roku. Po wkroczeniu wojsk niemieckich rozpoczął się dla nich stopniowy czas zagłady. Na rozkaz władz niemieckich zaczęto gromadzić wszystkich Żydów z całego miasta i okolic w jedno miejsce.

Z początkiem lipca 1942 roku został wyznaczony teren getta. W Limanowej teren getta obejmował cały „Kamieniec”. Zaczynał się od mostu przy targowicy na potoku Mordarka. W naturalny sposób wyznaczony był skarpa, na której stały budynki: Sokoła, tzw. kamienica „dworek” (budynek zajmowało gestapo, po wojnie był tam Urząd Bezpieczeństwa) i dalej budynek Sądu Grodzkiego wraz z więzieniem. Getto obejmowało również obecną ulicę Zieloną obok szkoły podstawowej, w której znajdowały się koszary niemieckiego Wehrmachtu i dalej wzdłuż potoku Mordarka aż do mostu przy „starej” poczcie.

Na tym niewielkim obszarze, zgromadzono około dwóch tysięcy Żydów z Limanowej i okolic. Zamknięci w getcie Żydzi, odizolowani całkowicie od otoczenia, pilnowani byli przez własną policję żydowską, a na zewnątrz przez patrole policji niemieckiej i granatowej.

Opuszczenie terenu getta groziło śmiercią. Przez szacunek dla tych nieszczęśliwych ludzi, skazanych na zagładę, nie będę opisywał ich tragedii. Chociaż wiele widziałem i słyszałem. Całkowita likwidacja limanowskiego getta, nastąpiła w połowie sierpnia 1942 roku.

Opuszczone domy stały puste. Budynek garbarni został zajęty przez oddział SS, a doły na wapno, zasypane i postawiono w tym miejscu drewniany barak dla koni stacjonującego oddziału. Część opuszczonych żydowskich budynków zaczęto rozbiierać na opał podczas srogiej zimy w 1943 roku, a pozostałe w latach następnych.



Limanowscy Żydzi w kondukcje pogrzebowym. W głębi zabudowania „Kamieńca”.

Domy na „Piekło” zostały częściowo wyburzone. Przez jego środek obecnie przebiega ulica Mordarskiego. Większa część domów przy ulicy Krakowskiej została wyburzona, pozostała tylko rytualna łaźnia przerobiona po wojnie na łaźnię miejską. Zaś przy ulicy powstały murowane budynki, dzisiaj to ulica Jana Pawła II.

Zwarta zabudowa wokół synagogi w pobliżu rynku wnet po wojnie podzieliła ten sam los i całkowicie została wyburzona. Dziś w tym miejscu jest Mały Rynek.

„Kamieniec” również podzielił swój los tak jak „Piekło”. Po lewej jego stronie są teraz wybudowane bloki mieszkalne. Prawa jego strona świeci pustkami. W 1976 roku zostały rozebrane ostatnie dwie drewniane stodoły, na których kiedyś były naklejane złowrogie czerwone napisy z nazwiskami zakładników skazanych przez gestapo na śmierć. Rozbiórka tych stodoł zlecono limanowskim strażakom. W czasie rozbiórki znaleźli oni pod dachem dwie bardzo stare święte, żydowskie księgi liturgiczne. Ostatnie świadectwo żydowskiej tu obecności.

Nie ma również starego rynku z podcieniami, gdzie gromadziła się limanowska elita towarzyska. Zaś w niedziele i święta poważni gospodarze po sumie palili fajki, gwarzyli długo, a po tym szli grupkami do swoich nieraz bardzo odległych domów. Nikt się nie spieszył, po prostu żyli ze sobą. Panny i kawalerka, spacerowała po przekątnej rynku dow-

cipkując, obserwowali siebie nawzajem, z czego był bardzo zadowolony ksiądz proboszcz Kazimierz Łazarski, bo miał kolejkę do ołtarza w okresie karnawału. Zniknął z rynku święty Florian, który starał się ustrzec miasto przed pożarami. Ścięty został stary kasztanowiec, który był nawet zaznaczony na wojskowych mapach sztabowych. A w czasach okupacji, władze niemieckie zawiesiły na nim znienawidzoną szczekaczkę, która całymi dniami nadawała komunikaty wychwalające zwycięstwo wojsk niemieckich na wszystkich frontach.

Nie wychodzi na rynek woźny magistratu, pan Jeż, ze swoim bębenkiem zawieszonym na szyi, uderzając w niego, gromadził wokół siebie gromadkę ludzi i podawał ważne wiadomości. Tak kiedyś działała niezawodnie poczta głosowa.

Nie ma już tych kolorowych jarmarków, takich o których dziś śpiewa w piosenie Maryla Rodowicz. To wszystko co było, minęło bezpowrotnie. Tylko część tego pozostało jeszcze na starej fotografii i w naszej pamięci.

Dzisiaj nasz rynek i miasto wypiękniało i dobrze. Ale my starsi limanowianie może jeszcze odczuwamy jakąś nutkę smutku i żalu za tym co odeszło, co było takie piękne, cenne, swojskie, po prostu polskie.

**Tekst: Antoni Mamak**  
**Fotografie ze zbiorów do albumu „Okruchy pamięci”**



**BANK SPÓŁDZIELCZY  
W LIMANOWEJ**

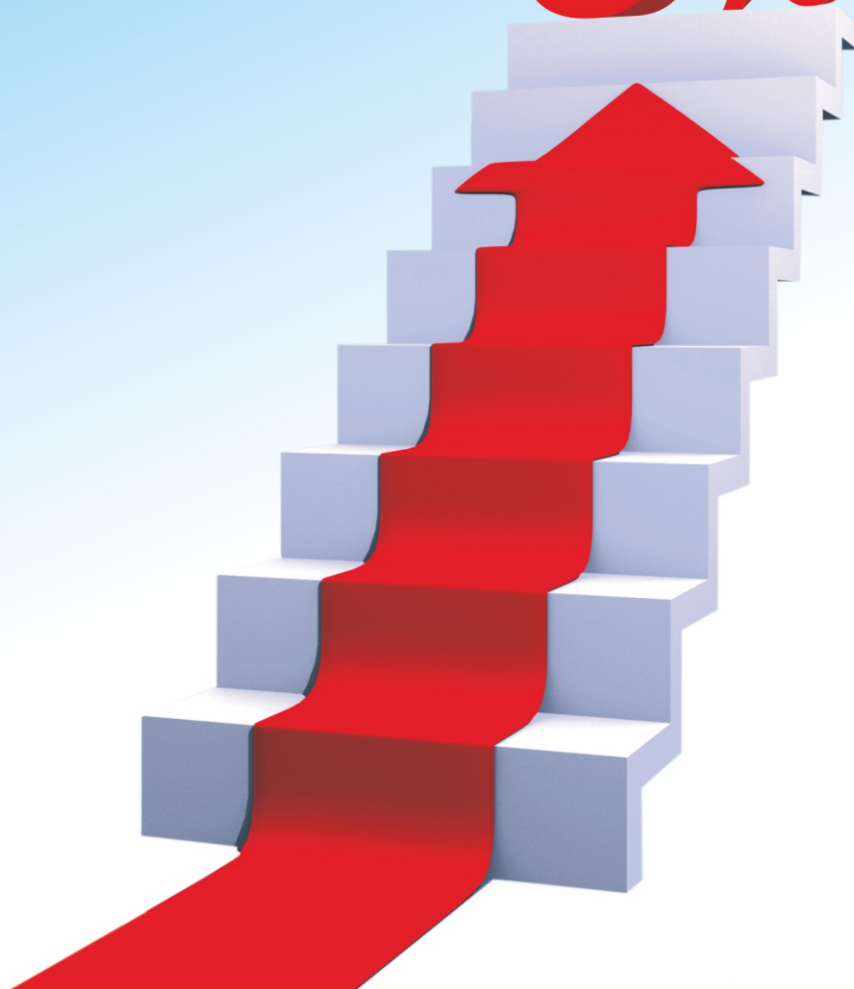
**Maksymalne  
bezpieczeństwo !**

**Pewny zysk !**

za okres 2 lat

**16%**

**8%**



[www.bs.limanowa.pl](http://www.bs.limanowa.pl)

**LOKATA BEZPIECZNA**

*Bank blisko Ciebie*

NAJWIĘKSZY W LIMANOWEJ  
**SKŁAD MATERIAŁÓW  
BUDOWLANYCH**



ul. Piłsudskiego 14 • Limanowa  
tel. (018) 33 74 127



[www.impuls.limanowa.pl](http://www.impuls.limanowa.pl)

ZIMOWA WYPRZEDAŻ